

**Szok węglowy: w Zawadowie dzisiaj (str. 3,4); Feralna trzynastka, czyli o polskich filmach (str. 4,5); Teatr „Gardzienice” w Nowym Jorku i w Seulu (str. 6); Doktor Biernacki (str. 6,7); Wiersze R. Liskowackiego M. Danielkiewicza (str. 9,10); Leonid Breżniew w pamięci wnuka (str. 11,12-13); Piotrków boi się satanistów (str. 12-13)**



Rys. Tomasz Wilczkiewicz

PL ISSN 0187-7108 Nr 1-4, 302514

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

• ROK ZAŁOŻENIA 1933

# Kamena

NR 21 (919)

16 października 1988

Cena 35 zł

## 45-lecie Ludowego Wojska Polskiego



Człowiek ceni sobie swoje przyzwyczajenia. Kiedy założy mundur, musi się z nim rozstać.

## Refleksje z drogi

Włodzimierz Kaleta

**O,** ZESZ, TY...! — prowadzący kolumnę oficer, por. Jan Foksiński, zatrzymał się i odwrócił. Za nim łańcuszek maszerujących postaci rozprysł się nagle we wszystkie strony, jak pęknięcia na stłuczonej szybie. Półksiężyc sylwetek otoczył szczerze żołnierza w środku kolumny, wietrząc sensację.

— Co się dzieje? — zapytał oficer.

— Szczęście będziemy mieli, obywatelu poruczniku — oznajmił radośnie któryś z żołnierzy.

Foksiński spojrział na jednego ze swoich podwładnych, który z determinacją wycierał but o kępę trawy.

— No dobra, maszerujemy dalej, bo jak się spóźnimy na plażę, to największe nawet szczęście nie uchroni nas przed gniewem dowódcy — porucznik uśmiechnął się i zaczął maszerować. Kolumna formowała się pospiesznie.

— Fajnie ma co? — Idący na czele kompanii komik pododdziałowy, szer. Ryszard Fornalski, nie byłby sobą, gdyby nie dorzucił do tej dyskusji własnych trzech groszy. — Chociaż wie na pewno, że dziś nie utonie.

— Ty, lepiej uważaj, żeby ta twoja prostota nie zamieniła się w prostactwo — zripostował któryś ze środka kolumny. — Zobaczysz, na ciebie także przyjdzie kryśka, jak na Grzegorza.

St. szer. Grzegorz Kosowski nie odpowiadał na zaczepki. Wyglądał, jakby marzył.

— Nie martw się, dzisiaj na pewno nie dasz plamy — Rysio Fornalski rozciągnął usta w chytrym uśmiešku, jak zawsze, kiedy szykował niezły dowcip, ale natychmiast ugryzł się w język. Spojrzął na maszerującego za nim w zadumie Grzesia. Jego twarz wyrażała obojętność. Nie reagował w ogóle na zaczepki i ta jego pokora rozbrajała wszystkich.

— A co on właściwie takiego przeszkrobał? — zapytał porucznika, wiedząc z doświadczenia, że marsz, nawet tak krótki, jak ten, na pobliską plażę, wyzwala w idących irracjonalną wręcz ochotę do rozmów, zwierzeń. Może to skutek tej monotonii

Dokończenie na str. 8—9

## O potrzebie mądrej opozycji

Ireneusz J. Kamiński

**K**OLEJKI do sklepów mięsnych ustawiają się na kilkanaście godzin przed otwarciem takich przybytków, co znaczy, że ludzie sterczą nocami na dworze, by dopaść kawałka kiełbasy, schabu, a jak los dopuści, to nawet i szynki. Towar jest niby reglamentowany, obliczony na zapchanie gęby każdego obywatela, ale praktyka dowodzi, że pełnowartościowego mięsa nie starcza dla wszystkich.

Ostatnio brakuje też w sklepach margaryny, tańszego cukru, zwykle nie ma serów twardych, nie mówiąc już o takiej wyrafinowanej przyprawie, jak musztarda.

Budownictwo „nie nadąza”.

Nasze samochody są kiepskie, nieekonomiczne, wymagają ciągle napraw, a części i ogumienia należy szukać głównie na różnych łódzkiej „gieldach”, gdzie tandetny „record” miast 12 tysięcy (cena urzędowa) kosztuje 70 „koperników”. Głupiej „zaślepki” do korpusu silnika, takiego metalowego krążka o średnicy starej 20-złotówki, nie uświadczysz w całej Polsce.

W rezultacie ludzie są wściekli, klną na ustrój, partię i rząd, strajkują, albo obojętnieją wedle wzoru schizofrenii katatonicznej.

Co tu zresztą gadać: koń jaki jest, każdy wie.

Różni lekarze tej naszej ciężkiej cholery twierdzą, że główny mechanizm rozładowania napięcia społecznego w Polsce tkwi w sferze ekonomii. Jak gospodarka ruszy wreszcie pełną parą i zarzuci rynek obfitości dóbr wszelakich a potrzebnych do znośnej egzystencji, to wszyscy między Bugiem i Odram uśmiechną się radośnie, spontanicznie formując się w pochodach 1-majowych, które staną się nową podniętą dla malarstwa Edwarda Dwurnika, przedstawiającego dotąd do święta na sposób ponury. **Jest to przecież rozumowanie prymitywne, zakorzenione w niegdysiejszej, trywialnej interpretacji dziejów, perfidnie deformującej myśl „młodego i starego” Marksa, który człowieczego dobra wcale nie utożsamiał li tylko z pełnym brzuchem.**

Na szczęście w narodzie dominuje dziś inne przekonanie: że poruszenie gospodarki i autentyczne wyzwolenie energii zbiorowej sprzężone jest z demokratyczną reorientacją naszego systemu politycznego.

Nie ma sensu bawić się w historiozoficzne rozważania na temat możliwości i ograniczeń demokracji. Wystarczy raz jeszcze wskazać, że Polacy pragną i domagają się takiej formuły życia politycznego, która zapewniałaby jednostce wolność wyboru wśród różnych wartości. Skończyły się czasy, kiedy po jednej stronie stały depozytariusze prawdy i mądrości, po drugiej zaś — masy spełniające bez szemrania dyspozycje oświeconych przywódców. Inna sprawa, że ów hierarchiczny model był często naruszany przez „niesforne masy”, wyedukowane właśnie w szkole Polskiej Ludowej, skutecznie, jak się okazało, wbijającej ludziom do głowy, że są podmiotem, a nie przedmiotem dziejów.

No i mamy to, co jest twardym faktem: pragnienie demokracji.

Dokończenie na str. 5



# z notatnika

4 X. Desygnowany na premiera Mieczysław F. Rakowski przeprowadza liczne konsultacje i wkrótce ma przedstawić na posiedzeniu Sejmu listę członków nowego gabinetu. Nie jest to zadanie łatwe, bo wielkie są oczekiwania społeczne. Kiedy odchodził ze stanowiska premier Zbigniew Messner, tytuły wielu komentarzy prasowych były bardzo zbiteżne, a przecież nikt się nie umawiał! Brzmiały one: „rząd upadł, problemy pozostały”. Jak będzie je rozwiązywał nowy premier, który politycznie ostrogi zaczął zdobywać w dziennikarskim fachu — oto jest pytanie. Faktem jest jednak, że poglądy MFR są nam bardziej znane niż poglądy innych działaczy, ponieważ w danym wypadku mamy również do czynienia z wziętym autorem, a nie tylko mówcą. Lektura takich książek jak np. „Tematy dnia” (1967 r.), „Polska polityka zagraniczna” (1975), „Przesilenie grudniowe” (1981), „Rzeczpospolita na progu lat osiemdziesiątych” (1981), „Partnerstwo” (1982), „Trudny dialog” (1983), lub dwuczęściowe „Czas nadziei i rozczarowań” daje wiele tematów do przemyśleń.

Z ostatnich przemówień MFR chciałbym natomiast zwrócić uwagę na to, które wygłosił on 19 września br. — na plenum Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Bydgoszczy.

„Przyzwyczailiśmy się — stwierdził MFR — przez wiele lat do pewnego komfortu w sprawowaniu władzy. W naszej partii wystąpiły elementy silnego biurokratyzowania. Zostały one poddane bardzo krytycznej analizie w 1981 roku. Krytycyzm ten znalazł bardzo gwałtowny wyraz na IX Zjeździe, jednak — jak wykazują doświadczenia następujących lat — niełatwo jest wyzwolić się z tego komfortu sprawowania władzy, jaki towarzyszył nam w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Dlaczego tak się dzieje, to temat dla historyków, politologów i socjologów. Jedno jest pewne, że w wielu wypadkach zatraciliśmy cechy partii walczącej. Zachowujemy się trochę jak szlachta rosyjska, która uważała, że nikt jej nie wywłaszczy, a zwłaszcza nie wywłaszczy jej własny car. A jednak wywłaszczył, mimo że jego poprzednicy umacniali polityczną i ekonomiczną pozycję szlachty rosyjskiej.

Musimy sobie uświadomić, że walka polityczna już nas nie opuści. Jeśli ktośkolwiek w partii uważa, że może jeszcze uzyskiwać cele, które formułuje partia, przy pomocy metod administracyjnych lub też argumentów, że mamy rację, to się grubo myli. Od tej pory trzeba będzie prowadzić nieustanną walkę polityczną o serca i umysły ludzi. Trzeba będzie w praktyce wykazywać wyższość nad oponentami, partnerami i przeciwnikami politycznymi. Taka jest rzeczywistość i taka już będzie”.

I dalej: „Należy powiedzieć, że w gruncie rzeczy dobrze się stało — w cudzysłowie oczywiście — że ktoś zaczął nas poszturchiwać, bo inaczej byśmy w ogóle zastęgli i stali się partią urzędników — bez obrażania tych, którzy urzędnikami są. Stalibyśmy się partią, która biurokratyzowała się do końca. Należy w ogóle zastanowić się nad tym, czy może istnieć partia, która zachowa swą młodość, odważne widzenie

swojej roli i świata, jeśli nie ma oponentów. Jeśli przyjrzeć się historii, to widać wyraźnie, że partie, które nie mają z kim konkretnie walczyć, wyradzają się”.

I jeszcze dalej: „Powieć otwarcie. Albo zdamy egzamin przed historią jako partia walcząca, albo przegramy. Nie ma takiej książki historii, w której zapisane jest, że musimy wygrać. Od nas będzie tylko zależało, czy socjalizm na ziemiach polskich, który obiektywnie zapaścił u nas głębokie korzenie, będzie systemem, który stworzył warunki dla pełnego rozwoju osobowości człowieka, naszego rodaka, obywatela Polski Ludowej. I niech nikt nie liczy na coś innego. Nam nikt nie pomoże. Skończyły się już te czasy, że można było na kogoś liczyć. Koniec. Na tym polega istota zmian, które się dokonały na świecie. Trzeba to widzieć i wyciągać z tego wnioski”.

A o „okrągłym stole” M. F. Rakowski powiedział:

„Idea »okrągłego stołu« wyrasta z naszej koncepcji porozumienia i walki. Niektórzy towarzysze zapomnieli, że to była przez cały czas nasza doktryna. Z tej doktryny wyrosło zwolnienie więźniów politycznych w 1986 r., z tej doktryny zrodziła się Rada Konsultacyjna i z tej doktryny w istocie rzeczy narodziła się koncepcja »okrągłego stołu«, która rzeczywiście ma na celu stworzenie warunków rozszerzenia płaszczyzny porozumienia narodowego. To jest nasz cel. Na czym on polega? Między innymi polega na tym, że rzeczywiście uważamy (...), iż skoro istnieje szeroka paleta krytyków naszej polityki, to należy skłonić ich do współodpowiedzialności. Proszę bardzo — ponosić odpowiedzialność! Osobiście obawiam się, że tej odpowiedzialności wielu panów nie będzie chciało ponosić, ale — proszę — to jest nasza oferta. Ciągłe mówicie »nie«, wszystko, waszym zdaniem, jest nie tak. Proponujemy więc nie sam »okrągły stół«, lecz rozważenie przy »okrągłym stole« kwestii Rady Porozumienia Narodowego, proponujemy inny podział mandatów w Sejmie, proponujemy drugą izbę parlamentarną. Wszędzie tam możecie wejść, ale i ponosić odpowiedzialność za bieg zdarzeń w naszym kraju”.

Sądzę, że trudniej o jaśniejszą wykładnię. Przynam, że teraz, kiedy M. F. Rakowski objął stanowisko premiera, inaczej odczytuję te słowa niż wówczas, kiedy padały one z bydgoskiej trybuny.

Zdaję sobie sprawę, że niełatwo będzie mu piastować nową funkcję, a przecież bardzo bym chciał, aby rzeczywiście mu się powiodło. I tu pozwolę sobie na osobisty watek. W styczniu 1949 r. redakcja „Sztandaru Ludu”, w której wówczas pracowałem, skierowała mnie na tzw. Centralną Szkołę Dziennikarską przy KC PZPR. Bez trudu uzyskałem urlop dziekański na KUL-u, gdzie zaliczyłem pierwszy rok ekonomii, i pojechałem do Warszawy. Wśród kursantów znalazł się i Mietek, który początkowo chodził nawet w mundurze oficerskim. Był dobrym, uczynnym kolegą, mimo młodego wieku wydał mi się poważniejszy niż wielu pozostałych. Później każdy z nas po-

szedł inną drogą: ja wróciłem do pracy w „Sztandarze” i kontynuowałem studia na KUL-u (już nie ekonomiczne, ale prawnicze, jako że w tzw. międzyczasie ekonomia na KUL-u uległa likwidacji), on zaczął pracować jako instruktor w Wydziale Prasy KC i z tej racji czasem odwiedzał Lublin, więc miałem możliwość go spotykać, ale owe kontakty były bardzo luźne. Po wielu latach, kiedy „Kamena” obchodziła swe 50-lecie, we wrześniu 1983 r., przyjechał jako wicepremier na nasz jubileusz. Kiedy przypinał mi do kłapy Krzyż Oficerski, powiedział: „Nie przypuszczałem, że to właśnie ja będę ciebie odznaczał”, a ja wówczas zażartowałem: „Sądziłeś, że będzie odwrotnie?” Wspominam ten jubileusz, bo wytworzyła się na nim rzeczywistość bardzo serdeczna, przyjacielska atmosfera.

Gdy pod koniec 1987 r. M. F. Rakowski został wybrany członkiem Biura Politycznego, wysłałem mu ciepły list z gratulacjami. Rzadko komukolwiek wysyłam gratulacje, a jeszcze rzadziej otrzymuję za nie podziękowania. MFR jednak odpisał na świętecznej kartce. Ponieważ MFR wydał nawet książkę z listami, które do niego napłynęły w okresie, gdy piastował funkcję wicepremiera, niech mi będzie wolno dla odmiany zacytować list, który z datą 17 stycznia 1988 r., skierował on pod moim adresem: „Mój Drogi! Dziękuję za życzenia Noworoczne i gratulacje z okazji... Cieszy mnie, że nie zapominałeś o mnie. Lat, które upłynęły od chwili, gdy ćwiczyliśmy się w rozumieniu dogmatycznego socjalizmu, lepiej nie wspominać. Ściskam Twą dłoń. Twój Mietek R.”

Bynajmniej nie przeceniam znaczenia tej w końcu grzecznościowej kartki, ale jej treść świadczy przecież o kulturze człowieka, który nie zapomina o dawnych koleżeńskich więzach. Mimo upływu tylu lat! Sądzę, że od MFR wiele mogliby się nauczyć i ci, którzy piastują mniejsze urzędy. Przede wszystkim taktu. Kogo mam na myśli? A zgadnij kotezku, jak powiada Kisiel.

5 X. Obejrzałem telewizyjną transmisję z meczu piłkarskiego Legia — Bayern Monachium. Dziesięć bramek, ale tylko trzy dla warszawskiej drużyny. Cóż za różnica klas! Sądzę, że zawodnicy z Monachium sprowadzili nas na ziemię. Nasza piłka nożna (bo przecież Legia to góra pierwszoligowej tabeli!) już nie zalicza się nawet do średniaków europejskich. Zawodnicy Legii poruszają się po boisku jak żółwie. Z taką grą mogą brylować, od biedy, w Łęcznej. Niestety, regres polskiego piłkarstwa potwierdziła i drużyna GKS-u, która nie przebrnęła przez pierwszą rundę rozgrywek. I nie ma co się cieszyć ze zwycięstw Górnik Zabrze i Lecha, bo te drużyny wylosowały nad wyraz szczęśliwie. Zobaczymy, co będzie dalej, ale ja widzę czarno.

Dopisuję 7 października: Górnik Zabrze zmierzył się z madryckim Realem, a Lech z klubem FC Barcelona. Obym się mylił, ale mogą to być tylko turystyczne wycieczki do Hiszpanii!

6 X. Z pewnym opóźnieniem trafił mi do rąk trzeci, marcowy numer miesięcznika „Res Publica”, a w nim m. in. przypomnienie nadzwyczajnego Walnego Zebrania ZLP w związku z zakazem dalszego wystawiania „Dziadów”. Może fragmenty stenogramu są wybrane dość tendencyjnie, niemniej ktoś, kto dzisiaj wkracza w świadome życie polityczne, czytać musi ów tekst co najmniej ze zdziwieniem, bo cóż to za problemy pasjonowały w 1968 r., ówczesnych twórców i polityków! Kto

by mógł przypuszczać, że „Dziady” potrafią tak zaognić atmosferę! Oczywiście i my, starsi, dziś zupełnie inaczej patrzemy na dawniejsze konflikty!

Muszę jednak zacytować słowa prof. Bohdana Korzeniowskiego, który w poważnym gronie (na zebraniu komisji, stanowiącej wówczas namiastkę Rady Artystycznej przy ZG SPATIF) powiedział: „...wygłosiłem dość długie przemówienie (...). Mówiłem, że widzę, jakim i ja jestem, nie może być rozdarci między dwoma rządami: rządem Cyrankiewicza i rządem Mickiewicza. Stała się bowiem rzecz niezwykła: kiedy Mickiewicz ustami Konrada zawołał »Daj mi rząd dusz«, Pan Bóg do brotliwie skłonił głowę; i taki rząd dusz dał Mickiewiczowi. Odtąd ciągle mamy dwa rządy. W teatrze premierem jest Mickiewicz, ministrem kultury i sztuki — Słowacki, ministrem spraw zagranicznych — Krasieński, ministrem pracy, płacy i opieki społecznej — Norwid, a ministrem obrony narodowej i bezpieczeństwa — Wypsiński... Z tym rządem, mówiłem, znacznie silniejszym niż angielski gabinet cieni, ma do czynienia kolejna władza w Polsce”.

Sądzę, że po dwudziestu latach coś się jednak w Polsce zmieniło i o rozdarciu między rządem Rakowskiego a rządem Mickiewicza mowy być nie może. Chyba jednak innego zdania jest p. Małgorzata Dzielulska, która w tym samym numerze „Res Publica” tak pisze: „Po roku 1968 (...) pojawił się nowy podział, który obowiązuje do dziś i który jest podziałem poza kategoriami narzuconymi przez ideologię oficjalną — na ludzi prawych i ludzi skompromitowanych. Powstał obóz uczciwych, w którym mogli być i dawni (podkr. M. A. Jaw.) komuniści, i apolityczni fachowcy, i katolicy. Ich jedność stała się ważniejszą od innych lojalności...” Inaczej mówiąc, w obziewie nieuczciwych są obecni (dawni-obecni: przeciwstawienie) komuniści. Niektórzy rzeczywiście nie wiedzą, co czynią. Przepraszam, co piszą. A kyszi! — jak wołał wielki Adam.

8 X. W telewizji relacja ze spotkania Stanisława Cioska, z-cy członka Biura Politycznego KC, sekretarza generalnego PRON-u, z młodymi dziennikarzami. Mocno to sprawozdanie musiało być pokiereszowane, bo — o ile znam St. Cioska — lubi on mówić dużo, a tu z ekranu padały tylko bardzo krótkie odpowiedzi. A swoją drogą wiele pytań młodych dziennikarzy było dość naiwnych. Jak ci ludzie, i to z poważnych pism, mają przemawiać do swych czytelników, skoro ich wiedza, określając delikatnie, zbyt rozległa to nie jest. Na tym tle wyróżniał się, przygotowany do spotkania, kol. Król, ale to kol. Król z tygodnika „Wprost”, którego felietony i cenię, i lubię. Jego osobiście również.

9 X. Z satysfakcją zauważyłem, że światła na ulicach Lublina zapalają się już wcześniej, a więc krytyka „Eratomana” w Magazynie „Szt. L.”, jak i moja na plenum KW, pomogła. Nie wszystkie więc głosy idą w niebiosa. Czekam teraz na szybkie rozszerzenie sprzedaży pzbarynkowego mięsa, a może i wędlin. Ewentualnie na naukę proponuję pojechać do Trzcianki w woj. pilskim. Pojechać, podpatrzeć i spróbować, bo te kaszanki i pasztetówki, które czasami tu i ówdzie udaje się kupić w państwowych sklepach, nawet pies je niechętnie. W przeciwieństwie do wyrobów rzemieślnika z Alei Kraśnickiej, ale kto ma czas, by dwie godziny stać tam w kolejce!

M. A. Jaworski

## KRONIKA KULTURALNA

30 września w siedzibie TPSP w Lublinie odbyła się miejska inauguracja roku kulturalno-oświatowego 1988/89. Przemawiano krótko i rzeczowo, wręczono nagrody i odznaczenia — m. in. wybitnemu grafikowi, Maksymilianowi Snochowi, laureatowi Nagrody Artystycznej miasta Lublina, który z tej okazji przygotował niewielką, lecz piękną wystawę swojej twórczości, prezentowanej równocześnie (od 24 września) w galerii „La Viscontes” w północnych Włoszech. Na zakończenie uroczystości lubelskiej teatr „Provisorium” dał przedpremierowy spektakl „Wspomnienia z domu umarłych”, oparty na „Innym świecie” Herlinga Grudzińskiego.

Naukowa współpraca historyków dziejów najnowszych z UMCS i Uniwersytetu L. Kosciuszki w Debreczynie rozwija się m. in. w formie wspólnych konferencji, organizowanych w obydwu uczelniach — od 1981 r. Niedawno (6 października) odbyło się w Lublinie kolejne takie spotkanie, tematycznie związane z „Prawidłowościami i deformacjami w budownictwie socjalizmu na Węgrzech i w Polsce w latach 1948—1964”. Rozważano ta-

kie kwestie, jak: kult jednostki, kolektywizacja i industrializacja, deformacje systemu partyjnego itp.

Tematyka (Biegłony Pilsudskiego), melodyjne głosy, atrakcyjna inscenizacja — to właśnie wabi publiczność na przedstawienia „Galazki rozmarynu” Zygmunta Nowakowskiego w lubelskim Teatrze im. Osterwy. Oficjalna premiera śpiewogry odbyła się 24 września.

Węgier Piroscie Dobi i lublinianin Piotr Lucjan otrzymali główną nagrodę na wystawie bilansującej dorobek XXV międzynarodowego pleneru malarskiego i graficznego w madziarskiej miejscowości Hajduboszormeny. Gratulując naszemu malarzowi przypominamy, że i w przeszłości lubelscy artyści odnosili tam sukcesy.

Na Lubelszczyźnie i w kilku innych regionach kraju śpiewał Chór Ludowy Akademii Nauk Litwy: ponad 40 osób, utwory kompozytorów litewskich, ludowe „dajny” oraz klasyczna świątowa, przed wizytą w Polsce wstępy w Czechosłowacji i na Węgrzech.

Mikołaj i Andrzej Grabowscy w „Audjencji II” i „Audjencji V” (tekst Bogusława Schaeffera) rozmawiali z lubelską publicznością LDK o muzyce, sztuce w ogóle, o człowieku. Październikowe spektakle firmował krakowski Teatr STU.

W pierwszej dekadzie października przebywał w Lublinie prof. Leon A. Babaljan z Uniwersytetu w Erewanie, specjalista w zakresie prawa i procedury cywilnej oraz prawa rzymskiego. Gość UMCS wygłosił wykład pt. „Przebudowa a prawo cywilne”, odbył liczne rozmowy z władzami uczelni i kilkoma innymi profesora-

rami, omawiając m. in. program współpracy obu uniwersytetów. Wspomnijmy, że L. A. Babaljan po raz pierwszy był w Lublinie latem 1944 r., w składzie Dywizji Ormiańskiej i Frontu Białoruskiego.

W Radomiu (23 IX) i Kazimierzu Dolnym (24 IX) odbyło się sympozjum „Problemy konserwatorskie miast kaszubiowskich”. W tym drugim mieście, w tamtejszym Muzeum Sztuki Ziemińskiej, czynna jest (od 23 IX) retrospektywna wystawa prac złotniczych Marii i Pawła Fietkiewiczów (srebro, bursztyn, kamienie szlachetne).

„Ginąca architektura Zamojszczyzny” to hasło V Ogólnopolskiego Pleneru Ilustratorów w Sułcu koło Tomaszowa Lubelskiego (11—18 IX), uzasadnionego wysiłkiem BWA w Zamościu. W salach tejże instytucji można było oglądać (8—26 IX) wystawę tkaniny kubańskiej, a 5 X otwarto tam ekspozycję malarstwa Jerzego Taduzza Mroza z Łodzi, której towarzyszy elegancki katalog z barwnymi reprodukcjami prac tego interesującego artysty.

Od 27 IX w Galerii Grodzkiej lubelskiego BWA czynna jest wystawa fotografii Lucjana Demidowskiego „Wizerunki”.

Z przyjaźnią informujemy, że za inicjatywy edytorów w zakresie historii Polski Maciej Podgórnki (sekretarz redakcji „Kamena”) i Adam Andrzej Witulski (współpracownik naszego pisma) otrzymali wyróżnienie w prestiżowym konkursie im. W. Rzymowskiego, organizowanym przez SD.



# W Zawadowie

Andrzej W. Pawluczuk

**T**O trzeba zobaczyć na własne oczy. Trzeba tam być, przejść się betonowymi drogami prowadzącymi donikąd, zobaczyć te zwaliska stali i nowitki budynki z zabitymi oknami. Trzeba wreszcie usłyszeć tę martwą ciszę tam, gdzie miało tętnić życie. Inaczej człowiek nie uwierzy, że w systemie gospodarki planowej może istnieć tak nieobliczalne marnotrawstwo.

Ze nikt za to marnotrawstwo nie odpowiedział. I że ten, kto je spowodował, ma się zapewne o wiele lepiej niż ci, co włożyli tutaj — niepotrzebnie — swoją ciężką pracę, pod składy złomu i betonu oddali za bezcen swoją ziemię i przez wiele lat skazani byli na życie w poniżających warunkach.

Trzeba to zobaczyć i posłuchać tych ludzi, by wiedzieć, że nie można oszukiwać społeczeństwa. Dlatego ten reportaż dedykuję specjalnie tym politykom, którzy twierdzą, że zależy im na społecznym zaufaniu. Jeżeli tak, i jeżeli nie boją się spojrzeć ludziom w oczy, niech pojedą do Zawadowa i posłuchają. Tutaj, w tym reportażu, tylko niewielka część tego, co od dziesięciu lat leży miejscowym rolnikom na sercu. Tylko to, co wiąże się bezpośrednio z lubelskim węglem. Miał on przynieść dobrobyt oraz lepsze i lżejsze życie. Zamiast tego spowodował same kłopoty, a powiedziawszy prawdę — zrujnował tę wieś, która jeszcze piętnaście lat temu niczym nie odróżniała się od pobliskiego Ostrówka czy Ciechanek.

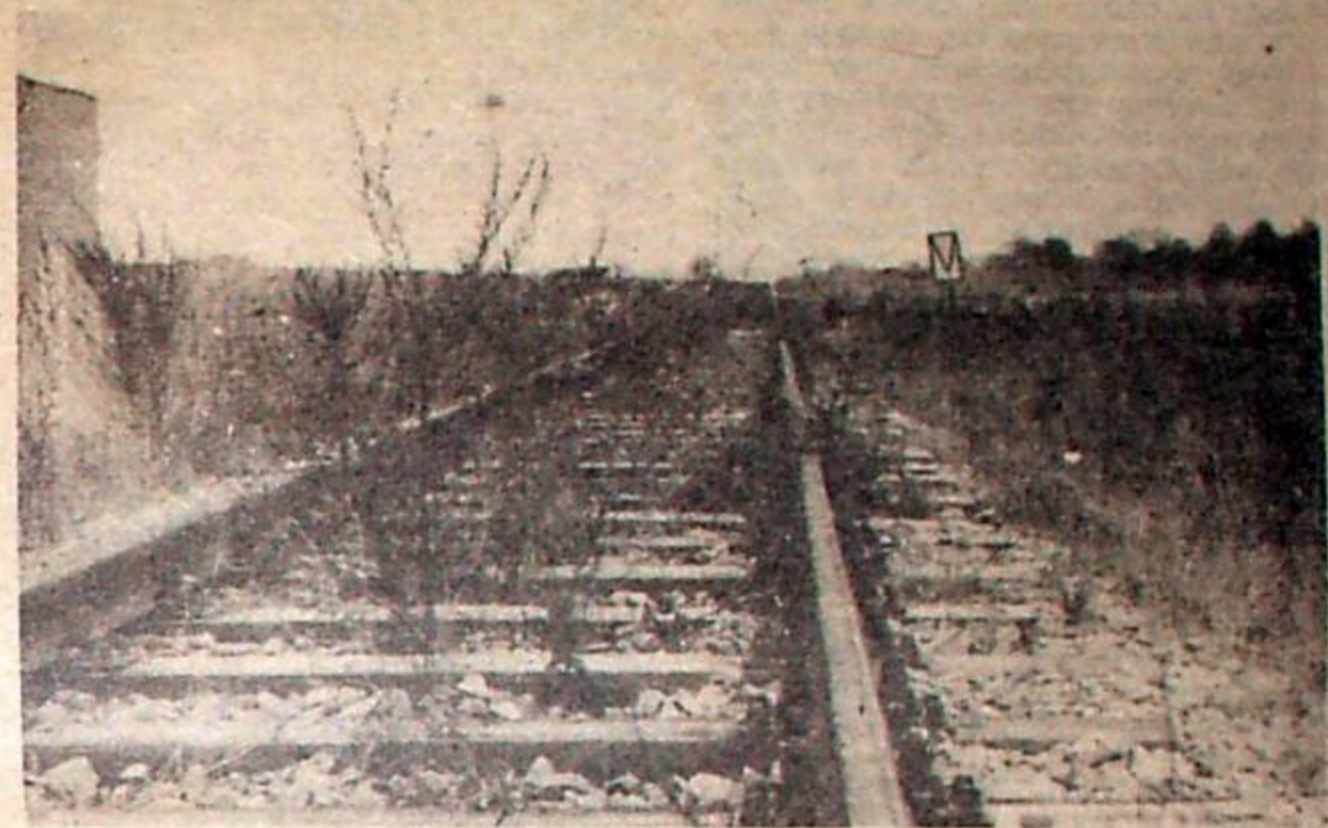
Właśnie przez Ostrówek, Spiczyn i Ciechanki jedzie się z Łęcznej do Zawadowa. Droga jest dobra, asfaltowa, szeroka, tak że bez trudu wyprzedzam chłopskie traktory ciągnące rolnicze maszyny. Koni i furmanek nie widać, a zbiór kartofli, jako że to pora wykopków, jest całkowicie zmechanizowany. Kilkakrotnie zatrzymuję się, aby

murowane, solidne i takie same budynki gospodarcze. Na każdym podwórku maszyny, a przy wielu domach widać samochody. Te wsie rozwijały się normalnie, kto chciał, ten się budował, inwestował, powiększał gospodarstwo. Ot, wydawałoby się, normalna rzecz w Europie, że praca przynosi korzyści, że własną pracą można się po prostu wzbogacić, postawić ładny dom, kupić auto, żyć — słowem — jak człowiek w końcu XX wieku żyć powinien pod naszą szerokością geograficzną. Ale — niestety — tak się tylko wydaje, i kiedy tą piękną szosą dojeżdżamy do Zawadowa, cofamy się o wiele lat.

Od razu rzuca się w oczy, że Zawadow jest wsią dużo biedniejszą od tamtych. Najpierw — domy i obejścia. Przede wszystkim stare, drewniane, gdzieś tam nawet słomiane strzechy. Niektóre domy ledwo trzymają się kupy, jakby miały się rozpaść przy silniejszym podmuchu wiatru. Uwagę zwracają liczne, opuszczone i wymarłe obejścia. To ślad po tych, którzy nie wytrzymali naporu węgla, a nie chcieli żyć i pracować bez widoków na lepszą przyszłość. Opuścili Zawadow, wybierając Łęczną, mieszkanie w bloku, osiem godzin pracy dziennie na państwowym, wolne soboty i niedziele i do tego co roku urlop. O wiele to łatwiejsze i lżejsze niż nieustanna harówka na własnej ziemi.

Ale zacznijmy tę opowieść od początku, czyli od roku 1978, kiedy to zaczęto budować w wielkim pośpiechu Lubelskie Zagłębie Węglowe. W pośpiechu i — okazało się — bez zastanowienia, nierozumnie i zwyczajnie pochamsku. Dlatego i ludzie w Zawadowie wysławiają się inaczej niż w Ciechanekach. Pierwszy zaczepiony przeze mnie rolnik musiał z siebie wyrzucić najpierw złość zanim zdolny był do rzeczowej rozmowy. „Ażebym ich

tych, którzy mieli opuścić Zawadow a nie chcieli już pracować na roli brakowało bowiem mieszkań w mieście. Dla tych zaś, którzy chcieli pozostać rolnikami, brakowało nowej ziemi. A i wywłaszczenia robiono po kawałku. Najpierw wykupowano od rolników



Kiedy jechał tędy ostatni pociąg?

ziemię, która szła bezpośrednio pod inwestycje. Pola, a nawet podwórka, przecinano drogami i torami. Toteż rolnicy, chcąc nie chcąc, musieli tu na razie pozostać i jakoś sobie radzić. A zostać musieli, ponieważ, po pierwsze — nie mieli dokąd pójść, po drugie zaś — choć powiedziano im, że wieś będzie zlikwidowana, nie wypłacano im odszkodowań za całe gospodarstwo. Kazano im czekać, ale nie pozwalano niczego budować a nawet remontować. Nie sprzedawano materiałów budowlanych ani maszyn. Obejścia popadały w ruinę, maszyny zużywały się i coraz ciężiej przychodziło uprawiać ziemię. Malali więc dochody rolników, a kiedy jest mniej pieniędzy w kieszeni, to i mniej wkłada się w ziemię. A im mniej wkłada się w ziemię, tym mniej się z niej otrzymuje. Co młodzi i bardziej energiczni nie wytrzymywali takiego życia bez szans i perspektyw; uciekali ze wsi. Zostawali starzy, spracowani i zniechęceni do wszystkiego, a przede wszystkim do władzy, która rządzi w taki sposób.

Ludzie w Zawadowie czują się nie tylko oszukani. Oni czują się poniżeni. Janowi G. dwa razy w ciągu ostatnich dziesięciu lat dawano pozwolenie na budowę i dwa razy je cofano. Przez podwórko państwa M. przeprowadzono tory kolejowe. Poszedłem obejrzeć, jak to wygląda. Cóż, jestem w tej mierze laikiem, ale sądzę, że można było te tory poprowadzić kilkanaście metrów dalej (tym samym kosztem). Po prostu ten, kto to projektował, całkowicie zlekceważył fakt, że pociągi jeżdżące będą przez czyjeś podwórko. Czy on sam chciałby mieć linię kolejową pod oknem? Takie pytanie jest nie na miejscu, albowiem tej wsi miało wszak nie być. Toteż zaprojektowano i budowano tak, jakby w istocie już jej nie było. Ale pozostały skutki. Państwo M. chcą w swoim gospodarstwie postawić oborę. Nie otrzymają jednak na to pozwolenia, ponieważ obejście znajduje się za blisko torów. Toteż to gospodarstwo będzie zawsze kaleką.

Jerzemu R. zabrano pod budowę elektrociepłowni 54 ary, w tym kawałek lasu. W dokumentach stoi, że uszczuplono gospodarstwo tylko o 47 arów i za tyle dostał odszkodowanie. Do dzi-

siaj chodzi o swoją krzywdę. Bezskutecznie.

Antoni Buch prowadzi mnie na swoje pole, przecięte na pół drogą, która wiedzie donikąd. Droga jest szeroka, aby mogły się na niej wyminąć dwie ciężarówki i znajduje się na wysokim nasypie. Oczywiście umieszczono w ziemi drenaż odprowadzający, nie jednak po nich, skóra nie działają. Właściciel drogi powinien się tym zająć, ale cóż go obchodzi jakiegoś tam drenaż, z którego powodu kawałek chłopskiego pola wyłączony jest spod uprawy? Prawde mowiąc — nie obchodzi go nic a nic. To też Antoni Buch, skartając się, że jego dzieci uciekły ze wsi, powiada: „Pole w dupę kole”. W Zawadowie na każdym kroku widać, że jest to smutna graw

Ludzi oszukiwano tu zresztą na wiele sposobów. Kiedy wywłaszczano —

placono za ziemię IV i V klasy. A kiedy teraz ktoś chce tę ziemię kupić z powrotem, okazuje się, że jest to grunt II i III klasy. Ale najczęściej rozgoryczenia i złości wywołuje sprawa budownictwa. To temat w Zawadowie dzisiaj najważniejszy. Prawie każdy rolnik, z którym rozmawiałem, argumentował następująco: Dziesięć lat temu można było postawić na wsi, dom za sto tysięcy złotych. Dzisiaj potrzeba na to piętnaście razy więcej. Te sto tysięcy, które były kiedyś poważną sumą, są przy dzisiejszych cenach właściwie świstkiem papieru. W co mógł włożyć te pieniądze rolnik z Zawadowa, jeśli chciał, aby nie straciły na wartości? Za sto tysięcy złotych można było w 1978 roku kupić tysiąc dolarów, a tysiąc dolarów to dzisiaj ponad dwa miliony zł. Jak to świadczy o państwie, że ktoś, kto chce utrzymać realną wartość swoich pieniędzy, zmuszany jest do przestępstwa (kupowanie i sprzedawanie obcej waluty jest w Polsce zabronione)? Więc jeżeli nie chciał lub nie odważył się zostać przestępcą, rolnik mógł te pieniądze legalnie przepięć i przepić. Cóż można powiedzieć o systemie gospodarczym, który wymusza tego rodzaju wydatki? Nic mówić nie trzeba, wystarczy popatrzeć wokół.

Prawie dziesięć lat całkowitego zastój to naprawę bardzo dużo. Wyobraźmy sobie w takiej sytuacji lubelską FSC. Czy musielibyśmy czekać długie dziesięć lat zanim fabryka stanie? Sądzę, że nastąpiłoby to dużo, dużo wcześniej. Ale rolnik, uważa się, zawsze sobie poradzi. Toteż państwo przywyczało się lekceważyć polskiego chłopca, poniżać go, przetrzącać na jego spracowane barki ciężar własnych niepowodzeń gospodarczych. Spróbujmy więc sobie wyobrazić, że w Polsce nie ma już rolników indywidualnych, są tylko PGR-y, i jako przedsiębiorstwa państwowe dotknięte są takim samym rozkładem, co pozostałe firmy państwowe. Nietrudno zgadnąć, czym zastawione byłyby wówczas nasze stoly.

Dokończenie na str. 4



Tu miała stanąć elektrociepłownia

zapytać o drogę. I młodzi i starsi odpowiadają piękną polszczyzną, co znaczy, że tak mówi się tutaj w każdym domu. Każdy jest też bardzo uprzejmy, rzekłbym nawet, że jest to uprzejmość wyszukana, jakby odświętna, a przecież bardzo naturalna i pasująca do świetnej polszczyzny, jaką nieczęsto słyszy się w mieście. To też znamienne świadectwo, przede wszystkim — komfortu psychicznego, zadowolenia z własnego życia i własnego miejsca na świecie. Bo przecież człowiek zadowolony z tego, jak żyje, nie ma powodów, aby patrzeć na bliźniego wilkiem, zazdrościć mu, widzieć w nim konkurenta, rywal, którego trzeba pokonać. Nie. Tutaj żyje się inaczej, to widać. To się wyczuwa już do krótkiej rozmowy. Dlatego podoba mi się tutaj ta wieś.

Ale Ciechanki i Spiczyn to wsie, których węgiel nie dotknął. Domy tu

wszystkich kurwa zajęła” — to były jego pierwsze słowa, gdy dowiedział się, że jestem dziennikarzem, a podaje je do druku nie dlatego, że lubię brzydkie wyrazy, ale z tej jedynie przyczyny, że styl to człowiek. I wierzę w tę francuską maksymę, gdyż sprawdziła mi się nie raz.

Więc — skąd taki styl? W roku 1978, kiedy jeszcze zakładano, że wybuduje się tutaj kilka kopalni, właśnie w Zawadowie zlokalizowano tzw. dzielnicę przemysłową, a tuż za wsią, nie dalej niż kilometr, miała być postawiona elektrociepłownia, zasilająca w energię i ciepło kilkudziesięciotysięczną — jak planowano — Łęczną. Wieś miała być więc zrównana z ziemią i zacierana. I właśnie skutkiem tamtej decyzji sprzed dziesięciu lat są dzisiaj rozpadające się domy i słomiane strzechy. Wszystko bowiem, jak to u nas, ciągnęło się opornie. Dla



# XIII Festiwal Polskich Filmów Fabularnych

**P**ODCZAS uroczystego zakończenia ubiegłorocznego XII Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku-Gdyni minister Krawczuk oświadczył żartobliwie, że nie należy się obawiać o poziom kolejnego, XIII Festiwalu, bo „trzynastka” wcale nie musi być liczbą feralną; przeciwnie — na przykład starożytni Rzymianie uważali ją za liczbę szczęśliwą... Niestety, przeprowadnia profesora nie sprawdziła się: tegoroczny festiwal filmowy zapisze się w pamięci jako jeden z najsłabszych, zarówno od strony artystycznej jak i organizacyjnej.

Zacznijmy od tego, że program festiwalu był przeladowany daleko ponad możliwość ludzkiej wytrzymałości: W ciągu siedmiu dni należało obejrzyć 26 filmów konkursowych (w tym 7 — to filmy telewizyjne) oraz trzy pokazy filmowe (w tym — najnowszy film Romana Polańskiego „Frantic” oraz obsypane Oscarami dzieło Bernardo Bertolucciego „Ostatni cesarz”). Pokazy trwały od godziny jedenastej rano, a kończyły się nierzadko w późnych godzinach nocnych. Przewodniczący jury, reżyser Janusz Zaorski, zwierzył się później podczas spotkania z dziennikarzami, że przy takiej nawale filmów czuł się pod koniec kompletnie wyczerpany fizycznie i psychicznie. Dyżurny lekarz festiwalu, dr Jarosław Furmański, powiedział natomiast w wywiadzie dla „Gazety Festiwalowej”, że od drugiego-trzeciego dnia imprezy udzielał codziennie ponad dwudziestu porad i że znaczna część dolegliwości jego pacjentów wynikała z przemęczenia, niedospania, nieregularnego odżywiania się.

Pozostaliśmy jednak przede wszystkim przy programie festiwalowym. Otóż należy tutaj dodać, że filmy konkursowe, wyświetlane w sali Teatru Muzycznego w Gdyni stanowiły zaledwie połowę artystycznej oferty: w trzech innych salach projekcyjnych prezentowano bowiem 16 innych polskich filmów, w ramach tzw. „sekcji informacyjnej” (były to dzieła, które nie zakwalifikowały się do konkursu). Odbywał się także „Interfilm '88”, czyli przegląd filmów nagrodzonych na narodowych festiwalach krajów socjalistycznych i w jego ramach można było obejrzyć sześć filmów — radziecki, węgierski, bułgarski, egiptowski, czeskosłowacki oraz kubański.

Jeżeli chodzi o całą ofertę polską — zarówno filmy konkursowe jak i z sekcji informacyjnej — to, niestety, za-

brakło podczas XIII Festiwalu tzw. „złotego środka”, to znaczy owych średnich, pod względem artystycznym, ale za to dobrych warsztatowo, atrakcyjnych dla widza — filmów, które później „robią kasę” w tzw. „szerokim rozpowszechnianiu”. (Tak było np. przed dwoma laty w wypadku filmu Janusza Majewskiego — „C.K. Dezerterzy”).

W tym roku pokazano na festiwalu kilka filmów bardzo dobrych, oraz... dużo filmów słabutkich i nieciekawych. Wśród tych ostatnich, znalazł się (dopuszczony zresztą, jedynie do sekcji informacyjnej) obraz Romana Załuskiego „Kogel-mogel”, na którego temat wypowiedziałem się już krytycznie w poprzednim numerze „Kamena”.

Na temat „Kogla-mogla” podobne zdanie wyraził wkrótce po zakończeniu

sztafa Kieślowskiego, którym przyznano „ex aequo” główną nagrodę, „Złote Lwy Gdańskie” („Krótki film o miłości” oraz „Krótki film o zabijaniu”), ani też, do przeleżał „na półkach” przez siedem lat telewizyjnej „Kobiety samotnej” Agnieszki Holland, której przyznano Nagrodę Specjalną jury.

„Ląbodzi śpiew” to „zwarowana komedia”, film-satyrę, film-parodię, ukazujący w krzywym zwierciadle koleje losu uznanego w kraju i za granicą polskiego scenarzysty, który zmaga się z pomysłem (a właściwie: wieloma pomysłami) na kolejny scenariusz, jaki mógłby zadowolić reżysera, publiczność, a także szefów kinematografii. Jego twórcze wizje znajdują, oczywiście, odzwierciedlenie na ekranie i w ten sposób możemy oglądać całą serię zresztą, z humorem nakręconych pa-

mu, kto na to zasłużył, nie licząc się z „konsekwencjami”.

Wspaniale się sprawdzili w komediowych rolach odtwórcy głównych postaci filmu (scenarzysty oraz jego żony, aktorki filmowej, która od lat czeka na rolę) Jan Peszek oraz Grażyna Barszczewska. To w znacznej mierze także ich udział w „Ląbodzi śpiewie” zaważył na sukcesie filmu Glišńskiego (oraz scenarzysty — Bolesława Michalka).

Równoległą nagrodę „Srebrnych Lwów” otrzymała inna komedia: „Obywatel Piszczyk” Andrzeja Kotkowskiego, nakręcona według scenariusza Jerzego Stefana Stawińskiego i będąca jakby kontynuacją niezapomnianego „Zezowatego szczęścia” Andrzeja Munka.

W postaci Piszczyka, tak świetnie wykreowaną niegdyś przez Bogumiła Kobiela, wcielił się obecnie Jerzy Stuhr, grając owego niepowtarzalnego

## Feralna trzynastka

Mirosław Derecki

festiwalu Zdzisław Pietrasik na łamach „Polityki”, w oceniającym tę imprezę artykule zatytułowanym „Zęby bolą”...

Zgadza się z wielu wyrażonymi tam opiniami autora. Także z tą, że „kryminał” Jacka Bromskiego „Zabij mnie, glibo” należy do obrazów całkiem udanych (film dostał jedynie nagrodę za montaż, a chyba zasługiwał jednak na coś więcej).

Natomiast nie przemawia mi do przekonania stwierdzenie (od którego zresztą Zdzisław Pietrasik rozpoczyna swój artykuł), iż: „Najlepszym filmem tegorocznego festiwalu był „Ląbodzi śpiew” Roberta Glišńskiego, niemal debiutanta, który wcześniej zrobił średniometrażowe „Niedzielne igraszki”...

Zgoda, że film ten zrobił furorę wśród publiczności festiwalowej. Zgoda — że jest to film doskonały, z werwą, talentem i wielkim poczuciem humoru, błyskotliwie nakręcony, i także: słusznie należała się Gliškiemu jedna z głównych nagród: „Srebrne Lwy”!

Alieci nie dorasta „Ląbodzi śpiew” żadną miarą do obydwu filmów Krzy-

styszów „zachodniego”, lub też „wschodniego” filmu: sensacyjnego, kryminalnego, erotycznego, psychologicznego, politycznego, itp., itd...

Jest to zarazem satyra na polskie środowisko filmowe i zapewne dlatego wiele dowcipów i scenek, jakie wywoływały huragany śmiechu wśród śpiewniczej, festiwalowej widowni, nie dotrze do tak zwanej szerokiej publiczności.

Ale przy całej swej lekkiej, komediowej warstwie posiada „Ląbodzi śpiew” głębszy, poważny podtekst, ten ukazujący kondycję współczesnego polskiego inteligenta i artysty, spychanego na margines (także — w biedę!) naszego społeczeństwa.

Tak więc w owym pozornie beztrojskim, komediowym filmie, wzorowanym trochę na burlesce amerykańskiej, co chwilę wyłania się z kąta skrzęcająca polska rzeczywistość.

Gliški drwi, kpi i tnie „biczem satyry”, nie oszczędzając zresztą ani kolegów z filmu, ani władzy, ani opozycji. I to — jedno z wielkich jego sukcesów: nie bał się „dolożyć” każde-

pechowca i zarazem człowieka o słabym charakterze; tym razem — w „pejzażu” Października 1956 r. oraz dziesięciolecia, jakie po nim nastąpiło.

Film, ukazujący w bardzo, ale to bardzo satyrycznym zwierciadle ludzi z kręgu tak zwanych decydentów politycznych, lecz również z kręgów „stróżów porządku publicznego”, będzie miał niewątpliwie powodzenie wśród szerokiej widowni. Tym bardziej, że reprezentuje humor raczej prosty, dosadny, rubaszny, odwołujący się bardziej do gromkiego rechotu publiczności, niż do śmiechu wyrobionej publiczności. Ale dlatego też nigdy „Obywatel Piszczyk” nie dorówna klasą finezyjnemu „Zezowatemu szczęściu”, a Stuhr nie zdola przyćmić Kobieli z tamtego filmu...

„Kobieta samotna” Agnieszki Holland — drapieżna, pełna gorzkości i prawdy o ludzkich losach i beznadziejnym bytowaniu opowieść wpisana w realia współczesnego polskiego społeczeństwa; ten obraz „ludzi zapomnianych”, „nikomu niepotrzebnych”: ani tzw. władzy, ani jej oponentom, była niedługo przed gdańskim festiwalem filmowym prezentowana na

## W Zawadowie

Dokończenie ze str. 3

Można by w tym miejscu zapytać: coż znaczy zniszczenie jednej wioski i iluś tam hektarów ziemi uprawnej wobec milionów ton węgla, tak przecież — powtarza się bez przerwy — potrzebnego naszej chorej gospodarce? Odpowiedź może być tylko jedna: nie znaczy nic. I gdyby Zawadów zlikwidowano w ciągu roku, dwóch lat, nikt by już dzisiaj nie pamiętał, że była taka wieś. Nikt by nie pamiętał pod warunkiem, że z likwidacji Zawadowa byłby jakiś pożytek. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Kilkakrotnie zmieniano plany rozbudowy Lubelskiego Zagłębia Węglowego i już w tym roku zrezygnowano z budowy kopalni K-2 w Stefanowie. Zawadów otrzymał znowu prawo istnienia, można się tutaj budować, inwestować w rolnictwo, rozwijać i to jest powód, aby zapytać o sprawiedliwość.

Otóż te blisko dziesięć lat całkowitego zastoju gospodarczego poszło na marne. Tak: na marne! I o tym trzeba krzyknąć, gdyż właśnie taki sposób gospodarowania był w Polsce skutecznie chroniony przymiotnikiem „socjalistyczny”. Był niepodważalny, a jego krytyka uchodziła za negowanie zasad socjalizmu. Coż więc należy zrobić, aby ludziom w Zawadowie przywrócić sens

pracy? Więcej: sens życia, a to znaczy — możliwość budowania, inwestowania, rozwijania się, by choć po części nadrobić ów dziesiątek straconych bezpowrotnie lat. Jest to fundamentalne pytanie, gdyż przetrwanie Polski przez następnych dziesięć lat zależy tylko od wsi, od tego, czy będziemy mieli co jeść. Możemy nie mieć telewizorów i pralek, możemy być nawet bosi, ale jeżeli nie będziemy mieli co jeść — zginemy. Wieś przeżywa dzisiaj wielki kryzys sensu, sensu pracy. Powiedział mi rolnik w Zawadowie: „Jak tak dalej będzie, to i my opuścimy rękę”.

Te dziesięć lat zabrało rolnikowi w Zawadowie państwo polskie. I państwo polskie powinno mu te lata oddać.

Najpierw — poprzez takie przydziały maszyn i materiałów budowlanych, które zaspokoją narosłe przez owe lata potrzeby.

Po drugie — udzielając nadzwyczajnych kredytów bez oprocentowania. Skoro bowiem rolnicy stracili pieniądze, jakie nagromadzili na inwestycje, państwo powinno tę stratę wyrównać.

I sprawa trzecia: szkoła. W roku 1978 były plany, materiały i pieniądze, aby budować nowy budynek szkolny. Tego dowiedziałem się od dwóch nauczycieli, które zastałem w obecnej szkole. Szkole? Kiedyś tego rodzaju chatę nazywano lepianką i muszę powiedzieć, że było to pierwsze skoja-

zanie, jakie przyszło mi na myśl, kiedy na nędznej, drewnianej chacie zobaczyłem tablicę „Szkoła Podstawowa w Zawadowie”. Jest to po prostu nędzna, dwuizbowa chata chłopska, w której już teraz, jak mówi jedna z pań nauczycielek, „jest zimno”. A jeżeli zimno jest dzisiaj, 27 września, w dzień piękny, ciepły i słoneczny, to co będzie zimą? 28 małych dzieci uczy się tutaj w klasach I-III i zapewne czytają w swoich czytankach o pięknych, wielkich szkołach, gdyż jest to, według czytanek, Polska Ludowa.

Ale dajmy spokój tanim chwytom retorycznym, chociaż właśnie tutaj, w Zawadowie, mają one właściwą treść. Zatem punkt trzeci: szkoła. To powinien być bezdyskusyjny priorytet, jeżeli — oczywiście — nie chcemy, aby siedmio- ośmioletnie dzieci nabrały przekonania, że państwo ludowe kłamie.

Obraz porzuconych inwestycji, dróg prowadzących donikąd, torów kolejowych zarosłych zielskiem, wielkiego złomowiska, czym jest dzisiaj rozległy, wielohektarowy teren planowanej elektrociepłowni, przesuwać do jednego z kolejnych reportaży, gdyż tutaj brak już na to miejsca.

W skrócie: wrażenie jest piorunujące i nasuwa się myśl, że tak jak tutaj wyglądać będzie koniec naszego świata. Między betonowe płyty, spękane, pokruszone przez czas i bylejakość wciska się bujna zieleń, gdzieś ledwie wi-

dać kilkuletnie drzewka. Niedaleka jest przyszłość, gdy to rumowisko wielkich nadziei pochłonie las, gdy ta radosna twórczość inwestycyjna zniknie z naszych oczu. Może wtedy rolnikom z Zawadowa i paru okolicznych wsi łatwiej przyjdzie znosić ów permanentny brak wszystkiego (od roku nie można kupić spirali do parnika, a tuż pod bokiem gniją miliardy!), może łatwiej będzie im uwierzyć w jakieś mityczne „trudności obiektywne” i w to, że to my, społeczeństwo, przejedliśmy ogromne kredyty z Zachodu.

Kiedy zęgnalem się z kilkoma osobami, które oderwałem na kilkanaście minut od kopania kartofli, jeden z rolników tak podsumował naszą rozmowę zakreślając ręką koło: „Japończycy potrafią zrobić coś z niczego. A u nas? Niech pan popatrzy: u nas z czegoś robi się nic”. Toteż, prawdę mówiąc, rolnicy nie potrafią zrozumieć jednej, podstawowej rzeczy. Nawet mając bardzo śluchą ziemię, ale ciężko i solidnie pracując, chłop polski z roku na rok pomnaża swój dobytek. Jeden szybciej, drugi wolniej, ale zawsze mu przybywa. Dlaczego jednak w skali państwa nasza wspólna praca się nie sumuje, dlaczego nie przybywa nam narodowego majątku, ale z roku na rok stajemy się biedniejsi?

Pytanie tylko, kiedy wyjdziemy z tego zaccarowanego kręgu niemożności?

Andrzej W. Pawluczuk  
Zdjęła autora



ekranie telewizyjnym w programie ogólnopolskim. Jest więc już znana i zapewne właściwie doceniona przez widzów. Można więc w tym wypadku warto tylko podkreślić doskonale (poza reżyseria) aktorstwo pary głównych bohaterów: Marii Chwalibóg oraz Bogusława Lindy. I życzyć sobie i widzom, aby „Kobieta samotna” znalazła się jak najszybciej także na ekranach kinowych.

Z dwóch nagrodzonych najwyższym laurem filmów Krzysztofa Kieślowskiego bardziej podobał mi się „Krótki film o miłości”. Jemu też chcę poświęcić tutaj więcej miejsca. Tym bardziej, że „Krótki film o zabijaniu”, wyróżniony w Cannes jedną z najwyższych nagród, był już prezentowany wiosną i latem na krajowych ekranach kinowych. Oglądało go sporo osób, a także ukazało się na jego temat już wiele recenzji.

„Krótki film o miłości”, przy wszystkich swoich artystycznych walorach, ma dla mnie jeszcze jedną dodatkową wartość. Otóż jest on pierwszym od czasów „Personelu” filmem w pełni fabularnym tego niezwykle utalentowanego reżysera; dziełem całkowicie spójnym artystycznie, w którym nie pobrzmiwają ciężące nad wielu innymi filmami Kieślowskiego jego talenty (ale zarazem: „obciążenia”), filmowca-dokumentalisty. „Krótki film o miłości” jest wolny od wszelkiej, (zamierzonej lub nie zamierzonej przez autora w wielu jego „fabułach”) publicystyki; nie ciąży na nim paradoksalizm, tak kiedyś charakterystyczny dla filmów kina moralnego niepokoju...

Fabula niezwykle prosta i, wydawałoby się, wręcz banalna. Dziewiętnastoletni chłopiec, zafascynowany urodą i osobowością trzydziestoparoletniej przystojnej plastyczki mieszkającej w bloku z naprzeciwka, i nie zaprzatającej sobie głowy zasłanianiem okien w własnym mieszkaniu, systematycznie podgląda ją przy pomocy wielokrotnie przybliżającej lunety. Obserwuje jej życie erotyczne, ale także — jej życie codzienne: sposób zachowania się, ubierania, jedzenia, pracę twórczą.

Zna jej reakcje, jej upodobania, jej znajomych i jej... kolejnych kochanków. Widzi ją w momentach szczęścia, a także w chwilach rozpaczki lub załamania...

I oto od pewnego momentu, niespodzianie, zwyczajne chłopięce „podglądactwo” zaczyna się przekształcać w coś więcej: w fascynację drugą osobą, w obsesję, w głębsze uczucie, w miłość...

Kobieta czuje się początkowo (gdy sprawa się wyda) oburzona tym wszystkim. Potem — rozbawiona. Następnie — perwersyjnie podekscytowana. Aż wreszcie... porażona głębią owego młodzieńczego, bezsensownego, wydawałoby się, uczucia, które tak nagle wtargnęło do jej niezbyt udanego, być może „przebranego” już, życia... W pewnej chwili Magda zaczyna sobie zdawać sprawę, że i ona poważnie traktuje to, co jej ofiaruje Tomek, i że trzeba, póki nie jest za późno, skończyć z tą nieprawdopodobną, „bzurną” obopólną fascynacją...

Nie chodzi mi o to, by streszczać film i opowiadać kolejne sceny tej niezwyklej historii, ale o ukazanie „konstrukcji”, którą Kieślowski potrafi, scena po scenie, wypełniać głębokimi obserwacjami natury ludzkiej, niebanalnymi treściami psychologicznymi i filozoficznymi. Umie on, dotykając spraw niezwykle intymnych, drażliwych, wstydlivych, mówić o nich w sposób pozbawiony nawet cienia wulgarności, subtelny, delikatny.

Ten film, przepojony przecież od początku do końca erotyczną, wciąż narastającą atmosferą, prawie zupełnie wolny jest od goliżny, od „śmiały” scen, od tak zwanych „momentów”. Jest „Krótki film o miłości” filmem niepowtarzalnym, dziełem o głębokim ładunku humanistycznym, filmem o

wydwiekowi w sumie optymistycznym, o czym będzie się mógł przekonać każdy, kto pójdzie do kina, gdy film wejdzie już na ekrany.

„Krótki film o miłości” przyniósł autorom laury nie tylko za reżyserię. M. in. główną nagrodę za rolę kobiecą otrzymała Grażyna Szapolowska (istotnie, rolę wspaniale zagrała!). Brawa należą się także partnerującemu jej młodemu Ołafowi Lubaszence. (W kilka dni po zakończeniu XIII FFFF, „Krótki film o miłości” otrzymał Nagrodę Specjalną na festiwalu filmowym w San Sebastian).

Spośród filmów godnych nagród festiwalowych (choć ich nie otrzymały), należy wymienić jeszcze dwa: „Gdziekolwiek jest, jeśliś jest” Krzysztofa Zanussiego oraz „Dotknięci” Wiesława Saniewskiego, który znów po nieudanym „Sezonie na bażanty”, błysnął reżyserką klasą.

„Dotknięci”, notabene, obdarzyli swoją nagrodą dziennikarze akredytowani przy festiwalu; zdecydowaną większością głosów (jako że do nagrody tej pretendowało jeszcze kilka innych filmów, z „półkownikiem” — nakreślonej jeszcze w 1982 r. przez Leszka Wosiewicza „Wigilią”, wstrząsającą w swej wymowie i w nastroju opowieścią o wieczorze wigilijnym samotnionych kobiet, u progu stanu wojennego, 24 grudnia 1981 r.).

Notabene, projekcja konkursowa „Dotkniętych” Wiesława Saniewskiego była swoistym skandalem. Ale nie z winy filmu, czy też reżysera.

Otóż podczas wyświetlania tego filmu kolejny raz dały o sobie znać usterki aparatury projekcyjnej, która „obsługiwała” festiwal. Takiego „skrzeczenia”, „burczenia”, „zgrzytania”, dobywającego się z głośników umieszczonych za ekranem (czasami było to także — zupełne zanikanie dźwięku, czasami — przebijający się poprzez dialog i muzykę świrdujący odgłos pracującej maszynierki projektora!) nie slyszalem dotąd nigdy. A byłem wszak obecny na wielu tysiącach projekcji w różnych czasach, w różnych salach, gdzie wyświetlano filmy na bardzo różnej aparaturze!

Nie był to pierwszy przypadek „nawalania” aparatury dźwiękowej podczas tego festiwalu. Nie można się więc dziwić, że w takiej sytuacji reżyser zdecydował się na przerwanie projekcji w środku filmu; wygłaszając z estrady do publiczności (nie pozbawione słuszności) zdanie, że sytuacja jest odzwierciedleniem tej, w jakiej znajduje się dzisiaj polska kinematografia. Został za to nagrodzony rzęsiłymi brawami.

Skandaliczny był też sposób zapowiadania kolejnych filmów oraz przybyłych na projekcję ekip filmowych przez prezenterów, którzy ze swoimi „umiejętnościami” i swoją „wiedzą”, powinni być raczej bohaterami „Wodzireja” Feliksa Falka, albo bohaterami jakiegoś innego filmu, na przykład: ponurej parodii festiwalu filmowego.

Nic dziwnego, że w kuluarach festiwalowych głośno mówiono o tym, że ogólnopolski festiwal filmowy, mający pretensję do pozycji festiwalu europejskiego, pobrzmiwa raczej prowincjonalizmem powiatowego miasteczka.

Oficjalne protesty w sprawie fatalnych spraw organizacyjnych złożyło środowisko polskich filmowców oraz dziennikarze akredytowani przy tej „feralnej”, opatrzonej liczbą trzynastu — filmowej imprezie.

Na osłodę — pozostała pamięć o kilku naprawdę dobrych filmach w sali Teatru Muzycznego w Gdyni. W tym — o okazji obejrzenia „Frantic” Polańskiego i „Ostatniego cesarza” Bertolucciego; pierwszego — doskonałego, drugiego — wybitnego, filmach, o których warto będzie napisać szerzej przy najbliższej nadarzącej się okazji.

Mirosław Derecki

## O potrzebie mądrej opozycji

Dokończenie ze str. 1

A ponieważ każdy normalny polityk musi respektować fakty, wolność wyborów ideologicznych i ekonomicznych uległa w Polsce znacznej rozbudowie. Ostatnio mówi się nawet o legalizacji opozycji, a Czesław Kiszcak spogląda w oczy Lecha Wałęsy i vice versa, co oczywiście w sensie optycznym, lecz niebywałe w ujęciu politycznym.

I na tym właśnie polega dialektyka historii: postęp rodzi się jako wypadkowa przeciwieństw.

Jeśli chodzi o opozycję, to w swojej małości uważam, że jest ona w Polsce wręcz nieodczuwana, że trzeba dopuścić ją do pełnego głosu i wciągnąć w trudną robotę na rzecz naprawy Rzeczypospolitej.

Dlaczego?

Bo tak czy siak opozycja u nas istnieje, jest faktem, a każda racjonalna polityka musi respektować realia. Egzorcyzmowanie tej formacji słowem magicznym, zarzucanie jej en bloc nieuczynnych zamiarów wobec socjalizmu jest zajęciem jałowym i śmiesznym. Zaufajmy wreszcie Marksowi, który najważniejsze kryterium prawdy upatrywał w społecznym praksi. Widać zresztą gołym(?) okiem, że opozycja w Polsce występuje pod różnymi barwami: od czarnej po mocno zaróżowioną, wręcz lewicową. Pojmijmy w końcu, że pojęcia lewicy polskiej nie wyzerpuje PZPR i pozostające z nią w sojuszu stronnictwa polityczne (wielce zresztą zróżnicowane wewnętrznie pod względem ideologicznym i światopoglądowym). Do lewicy należą również tysiące bezpartyjnych, którzy uważają, że ustrój polityczny powinien gwarantować obywatelom jednaki poziom startu życiowego, sprawiedliwy, oparty na kryterium efektywnej pracy podział dóbr społecznie cenionych, wolność jednostkowej samorealizacji oraz instytucjonalną opiekę nad ludźmi rzeczywicie słabszymi od innych.

Legaina opozycja w Polsce potrzebna jest i samej partii rządzącej, która oby była silna, bo tego wymaga międzynarodowy interes kraju, jego pozycja w świecie i wspólnotie socjalistycznej. Ja nie biję pokłonów przed PZPR, nie mam, jako człek bezpartyjny i wyłączonej raz na zawsze z tzw. nomenklatury, powodu do czapkowania choćby przed naszym racławickim „białym domem”. Ja po prostu stwierdzam fakt, dostrzegany zresztą i przez różne ugrupowania opozycji, której stosunek do polskiej racji stanu jakby wydołał od roku 1981.

Po każdym kryzysie politycznym w PRL, po każdym dramatycznym czy wręcz tragicznym wstrząsie naszego życia PZPR bila się w piersi (owszem, czasami w cudze) i deklarowała odnowę wszystkiego, co ważne, łącznie z własnymi sposobami sprawowania władzy. Zmieniano ekipy, „oczyszczano szeregi”, wyrażano żal za grzechy i obiecywano poprawę. Było to nawet ciekawe, że materialistycznie zorientowani ludzie uprawiali coś w rodzaju klasycznych rekolekcji z etyczna dominanta, zamiast spokojnie przestudować Marksa i Lenina (z wyłączeniem rozprawy „Państwo i rewolucja”, tak drażniącej dziś Adama Schaffa), by spożytkować wreszcie w praktyce myśli współtwórców socjalistycznej wizji świata.

Krótkoterminowe skutki owych etapowych sanacji bywały nawet dobre, stymulowały rozwój kraju, sie naszego życia PZPR bila się w piersi (owszem, sytuacja wracała do normy, partia puszczała pare gwizdkiem propagandy, traciła energię, eo ipso — autorytet i realne zdolności sprawowania władzy w interesie narodu. Był to proces smutny, ale w jakimś sensie naturalny, nieuchronny w warunkach, kiedy decyzje o doniosłych skutkach społeczno-gospodarczych i politycznych podejmowano we własnym gronie „ścisłego kierownictwa”, nie licząc się nawet z opiniami szeregowych członków, bywało, że i takich, którzy pełnili niegdyś wysokie funkcje państwowe. Bez echa pozostały np. dramatyczne listy które kierował do KC prof. Andrzej Burda, nigdy członek KPP, a w drugiej połowie lat pięćdziesiątych prokurator generalny PRL.

Ciężaru, jak nakłada monopol władzy, nie udźwignie żadna partia polityczna współczesnego świata, istniejąca we względnie normalnym, cywilizowanym kraju. Tym bardziej nie udźwignie go par-

tia lewicowa, która w swoim programie posiada, jako wartości nadrzędne, idee ludowładztwa i sprawiedliwości społecznej. Oficjalne głoszenie owych idei, a zarazem kwestionowanie ich w praktyce życia zbiorowego prowadzi do demoralizacji wewnątrzpartyjnej, która niczym zaraza rozlewa się na inne grupy społeczeństwa.

Legalizacja opozycji jest jednym z fundamentalnych warunków rzeczywistego wzmocnienia PZPR, która jako partia ideologicznie spokrewniona z KPZR decyduje o usytuowaniu Polski w świecie, nie mówiąc już o jej ważnej roli w porządkowaniu naszego wewnętrznego gospodarstwa.

Dyskusyjne w tej sprawie pozostają tylko formy wprowadzenia opozycji w życie publiczne. To już jednak osobna kwestia.

Ważne, że opozycja jest i będzie — bo polifonia polityczna i ideologiczna stanowi dziś o charakterze świadomości europejskiej, ukształtowanej w długim procesie historycznym. Tak jest i bąsta, czy się to komuś podoba, czy nie.

Nie obawiajmy się przy tym o losy socjalizmu w Polsce. Zadbajmy raczej o to, by wykreować nad Wisłą socjalizm autentyczny, taki, jaki kształtuje się już w niektórych krajach naszego kontynentu. Europa zmierza do kolektywizmu — rzecz Schaff — popędzana w tym kierunku m.in. przez nowoczesne technologie informatyczne i bezpośrednio produkcyjne. A kolektywizm to nic innego, jak strukturalny element socjalizmu.

W ogóle to jednak nie ulegajmy złudzeniom, że istnieją czy zostaną odkryte w przyszłości idealne rozwiązania dylematów życia zbiorowego. W tej skomplikowanej, grubej i delikatnej zarazem materii poruszać się będziemy zawsze lepiej, lub gorzej.

Lepiej wszak byłoby, gdyby lepiej. Banalne, jak potrzeba legalnej opozycji w Polsce, opozycji mądrej, dojrzałej politycznie.

Fałszywych proroków i kabotyńskich „demiurgów” mieliśmy w historii aż nadto.

Ireneusz J. Kamiński



**T**YTUL jest w cudzoziemcu, ponieważ nie są to moje słowa. Tak o teatrze „Gardzienice” napisano w południowokoreańskim dzienniku „Hangilong” z 22 sierpnia br. o przedstawieniu „Żywota protopopu Awwakuma” w Seulu. „Gardzienice” w Seulu? Tak, to nie pomyłka. Ale trzymajmy się chronologii i opowiedzmy najpierw o Nowym Jorku, gdzie nasz teatr dał jedenaście występów podczas pierwszego, ale już od swojego początku bardzo prestiżowego Nowojorskiego Międzynarodowego Festiwalu Sztuki („The New York International Festival of the Arts”), który odbywał się w tym roku od 11 czerwca do 11 lipca i nazwany został przez krytyków „świętem naszego stulecia”. Sądzę, że nie jest to przesada; podczas trzydziestu

niu się o godność, moralność i elementarne wartości. Tak więc czyniąc — czynimy to nie z pobudek religijnych, ale właśnie powodowani pragnieniem ulepszenia życia na ziemi. Sprawa to nie jest marginalna, chociaż tego rodzaju nieporozumień było podczas nowojorskiego festiwalu niewiele. Dla mnie jest to jeszcze jeden dowód na to, że środkowo-europejskie doświadczenie kształtuje innego człowieka niż cywilizacja liberalnego Zachodu. A zatem nasza sztuka (literatura), co uparcie powtarzał Gombrowicz, ma szansę przemówić do człowieka stamtąd, jeżeli będzie „tubylczą”, prowincjonalną, bardzo polską, nie zaś naśladowczą i wtórna. Ale spieranie się z kimś jest także dowodem na to, że tego kogoś traktuje się bardzo serio, że uznaje się go za autorytet i mistrza w

minający modlitwę. Wędzowie zajęli miejsca, rozlega się pieśń Alleluja — droga do Rosji... To głos Awwakuma mówiącego o swej pełnej cierpienia drodze na Syberię, drodze na śmierć. Mimo iż w programie w skrócie podano słowa pieśni oraz opis 13 scen, migocący blask świec, aktorzy w czerni, ich śpiew i ruch, krzyk i szepc, wyrażający żal i modlitwę, wszystko to tworzy obraz, który przyciąga uwagę widzów i powoduje, iż zapominając o chronologii akcji z uwagą śledzą jej przebieg. [...] Na scenie tej mieliśmy możliwość obejrzenia utworu artystycznego wystawionego przez zespół teatralny w sposób najbardziej nowatorski, z wielkim sukcesem, utworu artystycznego opartego na opowieści człowieka nie znającego kompromisu, prowadzącego walkę z

## „Sposób najbardziej nowatorski”

— jak pisano — „nie kończących się dni i nocy” zespoły artystyczne z całego świata dały 350 przedstawień: muzykę, operę, taniec, teatr i film — dzieła stworzone w XX wieku, a więc prezentujące współczesny styl myślenia, wartości i dzisiejsze niepokoje moralne i cywilizacyjne.

Cóż to może obchodzić skomercjalizowaną Amerykę, zapyta pewnie ktoś, kto myśli stereotypami. Ale kiedy spojrzymy na listę najważniejszych sponsorów festiwalu i odczytamy z niej nazwy wielkich banków, korporacji i fundacji, to będziemy musieli stwierdzić, że kapitalizm ciągle jest systemem żywotnym, pełnym wigoru i fantazji.

Powiada się czasami o najnowszej sztuce „trzecia awangarda”. Jest to świadectwo swoistego skażenia teoretycznego dzisiejszej myśli, która chce wszystko porządkować. Ale gdy przychodzi do rozmowy o konkretnych realizacjach artystycznych okazuje się zawsze (i krytycy chylił tutaj głowy), iż nie bardziej nie działa na człowieka, jak tragedia, smutek egzystencji, poczucie jakiegoś — nieuchwytnego — końca życia. Można to nazwać uczenie poszukiwaniem tożsamości czy identyfikacji, ale przecież wiemy, że chodzi po prostu o sens, sens życia indywidualnego, prywatnego, którego nie znajdzie się w żadnej księdze, żadnym podręczniku, ideologii, ale znaleźć go można akurat w sztuce bądź w religii.

Ale tutaj amerykański światopogląd (jeżeli coś takiego istnieje) okazał się jednak dużo biedniejszy od naszego, środkowo-europejskiego. „Gardzienice”, jak wspominałem, dały jedenaście przedstawień, gdyż takie było zapotrzebowanie (zamówienie!). Można więc powiedzieć, że nasz teatr udzielał odpowiedzi na poważne problemy metafizyczne, nurtujące ludzi w Ameryce. Musiał udzielać, gdyż inaczej nikt nie wyłożyłby dolarów i czasu, aby przyjąć na spektakl. Ale prasa nie byłaby prasą, gdyby nie wiedziała lepiej. Obok więc entuzjastycznych recenzji pojawiły się głosy krytyczne. Przede wszystkim ganiono Teatr „Gardzienice” za to, że w „Awwakumie” sięga się po wątki religijne.

Ktoś, dla kogo zagadnienia moralne są wyłącznie zagadnieniami religijnymi, zdradza, że nie pojmuje już tradycyjnych wartości człowieka życia. Ze nie rozumie tradycyjnych, powiedzmy: staroświeckich sensów naszej codziennej walki. Walki — o co? Ha, o godność, sprawiedliwość osobistą i dziejową, o zadośćuczynienie za przemydlenie, o normalną prawdę, czyli o prawo do prawdy. I przecież to nie jest religia, przeciwnie — dla nas, środkowo-europejskich Polaków, są to podstawowe sprawy osobiste i narodowe, najprawdziwsza treść życia. To chyba nie jest niezrozumiałe, że codzienne, jak najbardziej przyziemne życie może polegać na nieustannym poszerzaniu granic wolności, upomina-

swym rzemiołem. I tak właśnie traktowano „Gardzienice” — z tym pierwszym Nowojorskim Międzynarodowym Festiwalem Sztuki: jako wybitną indywidualność teatralną, która ma do powiedzenia rzeczy nowe i interesujące. Nowy Jork przyjął zatem



Scena z „Żywota protopopu Awwakuma”

„Gardzienicom” (zresztą po raz któryś już) uznanie. Ale to uznanie ma o tyle większe znaczenie, że nastąpiło na tle najwybitniejszych trup artystycznych z całego świata.

Po Nowym Jorku był pobyt w Seulu, także z „Żywotem protopopu Awwakuma”, w dniach 20—22 sierpnia. Ale najpierw, na początku czerwca, pojechał tam na pięć dni sam Włodzimierz Staniewski, aby wybrać odpowiednie miejsce na przedstawienie. Koreańczycy pokazali w ten sposób nie tylko swą wielką kulturę i niespotykany u nas szacunek dla sztuki. Był to dowód wielkiego uznania dla „Gardzienic”, które przyjmowane tam były serdecznie, wręcz wylewnie. Ale czy „Awwakum” okazał się dziełem zrozumiałym dla Koreańczyków? Zacytujmy seulską gazetę.

„Choć ze sceny słyszeliśmy słowa wypowiedziane w języku polskim, z których nic nie rozumieliśmy, głębokie wrażenie wywierał śpiew, ruch, głos a szczególnie siła i żar bijący od wykonawców. Dramaturg O Therion, uważając za ujemne odstawienie w eksperymentalnej pracy reżysera, chcąc jakby osobiście w imieniu widzów wyrazić uznanie, powitał zespół gorącym aplauzem. [...] Na scenie przy blasku świec postacie w czerni, słyszemy szepc przypo-

walczącą cerkwią, władzą, ludźmi i samym sobą. [...] Zespół ten może naszych ludzi teatru i publiczność wiele nauczyć”.

Inna gazeta pisała: „Praca zespołu „Gardzienice” jest zupełnie inna od klasycznego zachodniego teatru dworskiego. Jest ona raczej w pewien sposób podobna do koreańskiego teatru w stylu „Madang-guk” tj. do rodzaju nowego teatru, który bierze przedmiot (przedstawienie) ze współczesnego społeczeństwa i traktuje go w ramach tradycyjnych form teatralnych. Ale podczas gdy „Madang-guk” jest teatrem o silnej orientacji politycznej w duchu reformatorskim, to cele zespołu „Gardzienice” leżą poza zrytą polityką. Zaś „The Korea Times” konstatał: „Awwakum” jest wcieleniem duszy wschodniej, z jej przepastną ciemnością, uwikłaniami pełnymi kontrastów i tendencją ku niepoahomowanemu maksymalizmowi”.

A więc — zrozumieli nas doskonale i Republika Korei Południowej stała się jeszcze jednym krajem o zbliżonej do Polski duchowości.

Włodzimierz Staniewski uważa to za zrozumiałe. Jego zdaniem sytuacja egzystencjalna i społeczna człowieka Wschodu jest permanentna zrytą, tułaczka. Euroazjata (a więc i Polak i Koreańczyk) jest wiecznym banitą, a to stawia go bezustannie wobec bardzo zasadniczych wyborów. Jak powiada w pewnym momencie jeden z bohaterów „Doliny Issy” — żyć, to za mało. Odrość to, chociaż czasami jesteśmy tak zmęczeni, że chcielibyśmy tylko żyć.

Na koniec wyjaśnienie: nie towarzyszyłem „Gardzienicom” (a naprawdę żałuję) ani w Nowym Jorku ani w Seulu (tam był też festiwal pod nazwą Olimpijski Festiwal Sztuki). Ta garść refleksji nasunęła mi się po konferencji prasowej, na którą teatr zaprosił dziennikarzy lubelskiej prasy. Opowiadał o występach zagranicznych i odpowiadał na pytania Włodzimierz Staniewski, założyciel, reżyser i kierownik artystyczny teatru, którego pełna nazwa brzmi: Ośrodek Praktyk Teatralnych „Stowarzyszenie Teatralne „Gardzienice”. To było moje pierwsze spotkanie ze Staniewskim, a zrobiło na mnie duże wrażenie. Pan Włodzimierz to silna, zdecydowana osobowość i wybitny intelekt, a rozmowa z nim jest prawdziwą przyjemnością. Toteż każdy, kto bliżej zna dzieje lubelskiej kultury, dziwi się zapewne, że postać tego formatu nie wyemigrowała dotąd z naszego miasta, gdzie wybitnych ludzi ścigało się zwykle w dół lub dorabiali im odpowiednie etykiety polityczne.

Czy oznacza to, że skończył się w Lublinie czas dla wszelkiego rodzaju pseudoznawców sztuki? Jeżeli tak — można się tylko cieszyć. Czemu osobście daję wyraz i szczerze „Gardzienicom” gratuluję: uznania w Nowym Jorku i sukcesu w Seulu.

AWP

## Z przeszłości Lublina

# Doktor Biernacki

Stanisław Michałowski

**W** LUBLINIE zmarł 18 sierpnia 1948 roku doktor Mieczysław Biernacki, którego barwna, owiana sporą legendą postać zasługuje w pełni na przypomnienie. To po jego śmierci Feliks Araszkiewicz napisał m. in.: „Chcę tylko zaznaczyć, że na dziejach kultury Lublina i Lubelszczyzny w wieku XX, kultury lekarskiej, a nawet gospodarczo-miejskiej, osobistość Biernackiego wywarła niezatarte piętno”.

Czym zasłużył sobie na tak piękną ocenę swej drogi życiowej człowiek, który nie był rodowitym lublinianinem?

Biernacki urodził się 8 listopada 1862 roku w Giżycach nad Proszą w rodzinie ziemiańskiej, a do Lublina przybył w końcu 1888 roku z dyplomem doktora medycyny i chirurga, uzyskanym w Berlinie i nostryfikowanym w Dorpacie. Osiadłszy w Lublinie, związał z tym miastem swe dalsze losy życiowe i zawodowe. Tu poślubił Zofię Annę Weyssfogel i tu urodziło się troje jego dzieci.

Swą karierę zawodową rozpoczął od prywatnej praktyki lekarskiej, a od 1892 roku związał się na stałe ze szpitalem św. Jana Bożego (obecnie Wojewódzki Szpital Zespolony przy ulicy noszącej imię i nazwisko doktora). W początkowym okresie pracy w szpitalu Biernacki brał m. in. aktywny udział w zwalczaniu epidemii cholery, często nekających ówczesną ludność, oraz wprowadził, jako jeden z pierwszych na terenie Królestwa, leczenie krup u dzieci za pomocą intubacji krtaniowej. Wspólnie z doktorem Kazimierzem Jacewskim założył też w mieście laboratorium doświadczalne, służące do wykonywania niezbędnych analiz, które wcześniej przeprowadzano w Warszawie.

Równocześnie na łamach „Kroniki Lekarskiej”, „Zdrowia” i prasy lubelskiej ogłaszał doktor śmiało projekty poprawy opieki medycznej w guberni lubelskiej oraz stanu sanitarnego i higienicznego w Lublinie.

20 marca 1903 roku Biernacki objął funkcję lekarza naczelnego szpitala św. Jana Bożego i sprawował ją (po odzyskaniu niepodległości przez Polskę była to funkcja dyrektora) ponad 40 lat. Kierując szpitalem, musiał podjąć współpracę z władzami zaborczymi, ale też przynosiła ona znaczne korzyści społeczeństwu polskiemu, w dużej mierze niezamożnemu i nękannemu epidemiami chorób zakaźnych. Niezamożnemu społeczeństwu służyły również krzewione przez Biernackiego formy samopomocy pieniężnej. Miał on bowiem duży udział w powołaniu do życia i funkcjonowaniu Lubelskiego Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego (praktyczną działalność rozpoczęło w październiku 1900 roku) i Kasy Pogrzebowej dla Chrześcijan (działalność rozpoczęła w połowie 1901 roku).

Wybuch i przebieg rewolucji 1905 roku wywarły wielki wpływ na radykalizację poglądów doktora, który skupiwszy wokół siebie grono bliskich mu ideowo ludzi, utworzył Lubelski Oddział Postępowej Demokracji i reaktywował „Kurier”. Na łamach „Kuriera”, a następnie od 1913 roku „Codziennego Kuriera Lubelskiego”, zamieścił ponad sto artykułów politycznych, w których z pasją i odwagą m. in. zwalczał rządy carskie, domagał się autonomii dla Królestwa, występował przeciwko Narodowej Demokracji, jako obrończyni ówczesnych porządków społecznych.

O roli, jaką wówczas odgrywał, świadczy wspomnienie blisko współpracującego z nim Witolda Giełżyńskiego: „Obdarzony bojowym temperamentem, odwagą cywilną i trafnym krytycyzmem, zjednał sobie grono szczerych i oddanych zwolenników, ale też jeszcze więcej wrogów w parafijskim i koltuńskim świątku. Stał się też wkrótce przedmiotem osobistych i politycznych ataków, jako widoma głowa całej lubelskiej lewicy, wrogiej rządowi obcemu, ale także opozycyjnej wobec zaściankowości obyczajowej, przywilejów stanowych i oportunistów własnego społeczeństwa. Wszelkie walki wewnętrzne na gruncie lubelskim, chociażby z dala od niego zaczęte, w końcu koncentrowały się wokół niego i w niego mierzyły”.

W okresie rewolucyjnej odwilży politycznej w Królestwie Biernacki zaangażował się z charakterystyczną dla niego pasją w zwalczanie analfabetyzmu. M. in. ze Stefanem Żeromskim, Markiem Arnsztajnem, Witoldem Chodźką doprowadził w 1906 roku do utworzenia Towarzystwa Szerzenia Oświaty „Światło” a apelując o poparcie dla tak potrzebnej placówki, pisał: „Każdy, który mocą przypadku otrzymał w dziele pewną dozę wykształcenia, ma w naszych czasach obowiązek oddania swojej wiedzy na usługi ojczyzny. Każdy stawić się powinien do apelu pod sztandar związku szkolnego z jednym i tylko hasłem — walki z ciemnotą i nieuctwem”.

Chlubne karty zapisane przez Towarzystwo, które przetrwało do I wojny światowej i pozwoliło przynajmniej części dzieci z rodzin robotniczych i chłopskich, a nierazko również dorosłym, pozbyć się analfabetyzmu, są w dużej mierze zasługą doktora. To on stał przy „Świetle” w dniach jego największego rozkwitu, jak i trudnych chwilach, kiedy tylko egzystowało.



Wśród ważnych placówek kulturalno-oświatowych, zrodzonych w Królestwie w okresie ustępstw caratu z inicjatywy m. in. Biernackiego, warto również wymienić Bibliotekę im. Hieronima Łopacińskiego. Jej idea zrodziła się w sierpniu 1906 roku po tragicznej śmierci Łopacińskiego, znanego bibliofila i etnografa, który z niebywałą pasją gromadził książki dotyczące kultury polskiej z zamiarem stworzenia w Lublinie biblioteki naukowej. Grono przyjaciół Łopacińskiego z drem Mieczysławem Biernackim, drem Kazimierzem Jarczewskim, drem Aleksandrem Jaworskim i Juliuszem Vetterem, chcąc zrealizować wolę zmarłego, a jednocześnie udostępnić bogaty księgozbiór społeczeństwu, postanowiło wykupić go od rodziny Łopacińskiego. Po wielu perypetiach i trudnościach, związanych zwłaszcza ze znalezieniem pomieszczeń, biblioteka została otwarta 24 kwietnia 1908 roku i ciągle powiększanym księgozbiorem nadal służy społeczeństwu Lublina i Lubelszczyzny.

Zaangażowanie doktora Biernackiego na polu kulturalno-oświatowym wynikało z jego przekonania, że dobro naszej kultury należy wykorzystać do budzenia świadomości narodowej, do mobilizowania i uaktywniania społeczeństwa. Szczególnie lubował się w literaturze romantycznej i na łamach „Kuriera” pisał z dużym zacięciem dziennikarskim, m. in. o twórczości Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Stanisława Wyspiańskiego.

Dużą odwagę cywilną, z której znany był Biernacki, pozwalała mu zwalczać próby rusyfikacji Królestwa, ale rzutowała także na jego stosunki ze środowiskiem lekarskim przed I wojną światową. Z jednej bowiem strony doktor, znany już wówczas ze swych trafnych diagnoz, rozległej wiedzy medycznej, dzielił się swym doświadczeniem zawodowym ze środowiskiem lekarskim, a z drugiej — zwalczał panujące w tym środowisku zasady i konwenanse, popadając w konflikt z innymi lekarzami i Lubelskim Towarzystwem Lekarskim. Tak było m. in. w 1907 roku, gdy udał się do chorej (na wezwanie jej matki) i stwierdził nerwicę po przebytym dyfteryzie, a wcześniej postawiona diagnoza przez doktora Stefana Rudzkiego sugerowała objawy choroby sercowej. Te różne diagnozy posłużyły otoczeniu do plotek i stały się podstawą sporów. Rozpatrywał je sąd Lubelskiego Towarzystwa Lekarskiego, który uznał, że Biernacki postąpił nieetycznie, gdyż poszedł do chorej leczonej uprzednio przez Rudzkiego bez wezwania tegoż na konsylium. Biernacki nie pogodził się z tym wyrokiem, uważając, że kosztów utrzymania dobrych stosunków między lekarzami nie powinni ponosić pacjenci i wystąpił z Towarzystwa (ponownie związał się z nim po odzyskaniu przez Polskę niepodległości i pełnił przejściowo funkcję prezesa).

Przedkładając zdrowie chorych ponad zasady etyczne wzajemnych stosunków pomiędzy lekarzami, Biernacki konsekwentnie zabiegał o poprawę losów biednej ludności szczególnie narażonej na choroby zakaźne. Takim celem przyświecał mu również na początku 1909 roku, kiedy wraz z Różą Mączyską, Jakubem Kielczewskim, Władysławem Muszyńskim, Stanisławem Sliwińskim, Juliuszem Vetterem i Władysławem Tolwińskim, utworzył Lubelskie Towarzystwo Walki z Gruźlicą. W pierwszym okresie działalności Towarzystwa Biernacki nie wchodził w skład jego zarządu, lecz niósł mu nieocenioną pomoc, jako znawca chorób zakaźnych i lekarz naczelny szpitala św. Jana Bożego, w którym wybudowano komorę dezynfekcyjną, a w roku 1914 nowoczesny pawilon dla chorób zakaźnych.

Wraz z wybuchem wojny walka z szerzącymi się chorobami zakaźnymi: cholera, tyfusz, dżuma, czerwonka stawała się pierwszoplanowym zadaniem dla personelu szpitala. Jednocześnie Biernacki kierował pracami Rady Zdrowia, powołanej do walki z tymi chorobami przez Lubelski Komitet Obywatelski, a od stycznia 1917 roku Rada Miejska powierzyła mu kierownictwo Wydziału Sanitarnego Magistratu. Nie można również nie wspomnieć, że doktor był jednym z założycieli Pogotowia Rantunkowego w Lublinie i pełnił funkcję jego prezesa w trudnych latach 1919—1920.

W pierwszym okresie niepodległej Polski niezwykle ciężkie było położenie szpitala św. Jana Bożego, co powodowało, że Biernacki z uporem godnym podziwu zabiegał o jego „umiastowienie”, czyli objęcie szpitala bezpośrednią opieką, w tym i finansową, przez samorząd miasta Lublina. Rada Miejska z nieznaczną większością radnych endeckich i Magistrat nie widzieli jednak możliwości zdobycia środków dla wymagającego generalnego remontu i stale zadłużonego szpitala. Poparcie dla swych wieloletnich starań znalazł doktor dopiero w 1927 roku po przejściu władzy w mieście przez samorząd z socjalistyczną większością. Zresztą sam wchodził w skład Rady Miejskiej i cieszył się wówczas dużym uznaniem i popularnością za wkład w podniesienie poziomu lecznictwa szpitalnego, poprawę zdrowia ludności i rozległą wiedzę medyczną. Ten zamilowany internista i neurolog interesował się zarazem psychiatrią, analityką, rentgenologią i chirurgią oraz stosował nowe zdobycze nauk medycznych. Jako jeden z pierwszych Polaków rozpoczął w 1923 roku leczenie gruźlicy płuc odmą oplucną, co było o tyle istotne, że umieralność na tę chorobę w Lublinie znacznie przewyższała średnią krajową.

Szeroko o wkładzie Biernackiego w zwalczaniu gruźlicy pisze Helena Mysakowska, która podkreśla również jego niepospolite zdolności jako lekarza i świetnego diagnosty. Potwierdza tę opinię m. in. Konrad Bielski, który następująco wspominał Biernackiego: „Lekarz znakomity, obdarzony graniczącą z jasnowidztwem umiejętnością rozpoznawania chorób [...] Było to wszystko poparte gruntowną

wiedzą lekarską i kolosalnym doświadczeniem. Oczywiście, w tych warunkach powodzenie miało zawrotność. Przed pacjentami chował się i uciekał. Scigali go jednak wszędzie i nie dawali dokończyć szklanki mocnej kawy lub przerywały partię ulubionych przezeń szachów. [...] Lekarz wszechstronny, bo internista znakomity i psychiatra. Społecznik, polityk, wszystko, co działo się w kraju i na świecie, nie mogło ująć jego uwagi. A przy tym szereg dziwactw i oryginalnych nawyków dawalo okazję do wielu dykteryjek i anegdot. To wszystko zbliżało doktora do ludzi w sposób ciepły i serdeczny. Znana była powszechnie jego abnegacja. Nie dbał o wygląd zewnętrzny, ubiór jego fantazyjny nosił cechy jaskrawego zaniedbania”.

Wielką pomoc, jaką niósł Biernacki społeczeństwu Lublina, i uznanie, jakim się cieszył, pozwoliły mu doprowadzić do szczęśliwego końca zabiegów o roztoczenie przez władze miejskie opieki nad szpitalem św. Jana Bożego, po przyjęciu uchwały w dniu 7 grudnia 1927 roku przez Radę Miejską. Mimo że szpital borykał się nadal z trudnościami finansowymi, doktor zdołał doprowadzić w latach 1928—1931 do jego całkowitego skanalizowania, przyłączenia do miejskiej elektrowni, przeprowadzenia remontów oddziałów i utworzenia odrębnego oddziału gruźliczego.

W niezwykle trudnym okresie pierwszych lat niepodległości Polski Biernacki poświęcił swe siły i czas przede wszystkim zabezpieczeniu warunków dla funkcjonowania szpitala św. Jana Bożego. Typowe dla siebie zainteresowanie całokształtem życia społeczno-politycznego zaczął ponownie przejawiać po przewrocie majowym w 1926 roku. Wówczas stał się jednym z inicjatorów utworzenia Klubu Demokratycznego w Lublinie, skupiającego sympatyków, zwłaszcza ze sfer inteligentkich, Józefa Piłsudskiego. Wraz z innymi działaczami Klubu zabiegał również o rozwiązanie Rady Miejskiej w Lublinie, w której dominujące wpływy posiadała endecja. Krytykując prace proendecckiego Magistra-



tu, przedstawił w maju 1927 roku dziennikarzowi „Ziemi Lubelskiej” ciekawą wizję dalszego rozwoju miasta, które powinno stać się, na krańcach etnograficznej Polski, potężnym ośrodkiem kultury polskiej, promieniującym daleko na Wołyn i Podlasie. Zgodnie ze specyfiką kraju miała to być przede wszystkim kultura rolnicza, w związku z czym Biernacki dostrzegał pilną potrzebę utworzenia w Lublinie uczelnii rolniczej. Równocześnie kreślił warunki konieczne do spełnienia, aby Lublin mógł zostać znanym ośrodkiem kultury: zbudowanie urządzeń higienicznych na poziomie europejskim — bruki, kanalizacja, wodociągi, zaprowadzenie elektryczności, pozbycie się „piętna”: moskiewskiego zaniedbania”, uczynienie miasta pięknym. Zrealizowanie tego ostatniego warunku uzależniał nie tylko od położenia i cennych zabytków architektonicznych miasta, ale również od stworzenia w nim skwerów, parków, alei spacerowych i poparcia dla tych zamierzeń wszystkich mieszkańców.

W realizacji przedstawionej wizji Lublina włączył się Biernacki osobiście, jako radny miejski. Został nim wybrany w czerwcu 1927 roku z listy „Bloku Związków Pracowniczych”. W swych niezbyt częstych wystąpieniach podczas plenarnych posiedzeń Rady (gdyż kierował przede wszystkim pracami Komisji Zdrowia) szczególną wagę przywiązywał do uzdrowienia sytuacji finansowej miasta i zajmował rzeczowe, jakkolwiek nie pozbawione krytycyzmu, stanowisko w stosunku do zamierzeń lewicy socjalistycznej, sprawującej władzę.

Po rozwiązaniu Rady Miejskiej przez ministra spraw wewnętrznych w lutym 1929 r. Biernacki brał udział w pracach Rady Przybocznej, organu opiniotwórczego i doradczego komisarycznego kie-

rownika Zarządu Miejskiego w Lublinie — Seweryna Czerwińskiego, a następnie ponownie został wybrany radnym miejskim z listy Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem. Wobec braku trwałej większości w nowo wybranym samorządzie nie mógł wybrany zostać prezes, chociaż Biernacki, popierany przez radnych PPS i ugrupowań żydowskich, bliski był objęcia tego stanowiska. W tej sytuacji doktor, rozczarowany decyzją władz administracyjnych rozwiązujących Radę Miejską i przywracających rządy komisaryczne, nie kandydował już więcej na radnego.

Szerzej swe poglądy na rolę samorządu, jak i rozwiązania ustrojowych ówczesnych państw, przedstawił Biernacki na łamach reaktywowanego w 1932 r. „Kuriera Lubelskiego”. Jego stanowisko znamionuje poparcie dla działalności Piłsudskiego w celu stworzenia silnej władzy wykonawczej i wielka troska o losy państwa zagrożonego ponownie przez Niemcy. Nie był jednak doktor bezkrytyczny wobec istniejącego systemu rządów; „Centralizm państwowy, tak konieczny z punktu militarnego, obrony narodowej, ma wiele ujemnych cech”. Postulował podjęcie dalszych kroków: rozbudowy samorządów, reform podatkowych i powołania Izby Gospodarczej na miejsce Senatu — w celu zrealizowania prawidłowego modelu organizacji państwowej.

Jest rzeczą charakterystyczną, że Biernacki, wysuwając postulat powołania Izby Gospodarczej („śmiały krok naprzód, swoiście polski, połączenie korzyści syndykalizmu z demokratycznym, politycznym przedstawicielstwem Sejmu”), nie akceptował odnoszących się do Senatu założeń projektu nowej konstytucji, zgłoszonego przez BBWR. Pozostawał jednak nadal w szeregach Bloku, który w październiku 1935 r. rozwiązano. W jego miejsce utworzono Obóz Zjednoczenia Narodowego, zakładający m. in. konieczność dalszego umacniania państwa w kontekście zagrożenia ze strony Niemiec. Biernacki zaakceptował cele i zasady programowe tej organizacji i w marcu 1937 r. został członkiem Tymczasowego Zarządu Wojewódzkiego OZN w Lublinie, a w lutym 1938 r. wszedł w skład Rady Okręgowej w tym mieście.

Utrata niepodległości Polski stała się dla doktora osobistą klęską, lecz na miarę swych sił i możliwości podjął walkę z Niemcami w szpitalu św. Jana. Nadal bowiem kierował szpitalem — swoistą enklawą polskości — w którym ratowano zdrowie wielu uchodźcom przed Niemcami i partyzantom, a także chorym narodowości żydowskiej. Obraz odwagi i poświęcenia dyrektora Biernackiego przedstawia w swych wspomnieniach m. in. Ryszard Jędrzejewski: „Niespotykany hart woli i charakteru, jak też podeszły wiek sprawił, że człowiek ten niejednokrotnie lekceważył zarządzenia Niemców i kierował się dobrem chorego, poczuciem godności osobistej i narodowej, za co był wielokrotnie szykanowany. Bywało tak, że podsuwał im propozycję, by go aresztowali, względnie od razu zastrzelili, ale Niemcy liczyli się z nim i pozostawiali na zajmowanym stanowisku. [...] Osoba sędziwego dyrektora Biernackiego była w tym cementem, który w obliczu ciężkich zmagających się z wrogiem na co dzień, wobec niedostatku materialnego i gospodarczego potrafił utrzymać godność obywatela i kierownika placówki, jak również Kolegi”.

Na okres okupacji hitlerowskiej (w 1942 r.) przypadła uroczystość pięćdziesięciolecia pracy Biernackiego w szpitalu. W jej trakcie odmówił podania ręki Niemcowi, chcącemu złożyć mu gratulacje. Kilka miesięcy później sprzeciwił się ponoszeniu konsekwencji przez personel szpitala za ucieczkę więźnia przebywającego na oddziale chirurgicznym i pilnowanego przez Niemca. Te kolejne przejawy antyniemieckiej postawy stały się najprawdopodobniej bezpośrednią przyczyną usunięcia Biernackiego z funkcji dyrektora szpitala z końcem 1943 r.

Warto dodać, że w roku 1940 Niemcy zajęli dom Biernackiego przy ul. 3 Maja (obecnie siedziba „Kuriera Lubelskiego”) i zamieszkał on z żoną na terenie szpitala. Po wyzwoleniu kraju ówczesny prezydent Lublina, Tadeusz Kadura, przywrócił Biernackiego na stanowisko dyrektora szpitala miejskiego św. Jana. Podeszły wiek nie pozwolił jednak doktorowi sprawnie kierować szpitalem i w marcu 1945 r. prezydent przeniósł go w stan spoczynku, mianując równocześnie honorowym dyrektorem szpitala (faktycznie kierował szpitalem dr Rudolf Biernacki, a następnie dr Antoni Szczerbo) i przyznając dożywotnią pensję w wysokości otrzymywanych poborów. Do końca swych dni Biernacki zachował związki ze szpitalem, na którego terenie nadal mieszkał i zmarł w sierpniu 1948 r.

Kontynuatorami dzieła doktora byli dwaj jego synowie — znani naukowcy. Starszy — Mieczysław (1891—1959) został znakomitym matematykiem, wybitnym specjalistą w dziedzinie funkcji analitycznych, twórcą własnej szkoły matematycznej. Pracował naukowo w Uniwersytecie Wileńskim i Poznańskim, a po II wojnie światowej był jednym z założycieli i organizatorów Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Młodszy syn Biernackiego — Andrzej (1903—1963) został świetnym internistą, przy czym początkowo zajmował się, podobnie jak ojciec, gruźlicą. W Polsce Ludowej pracował naukowo w Uniwersytecie Warszawskim, a następnie Akademii Medycznej w Warszawie.



# Refleksje z drogi

Dokończenie ze str. 1

kroków, uparte przedreptywanie drogi, metr za metrem. A może nuda, która podczas marszu dopada prędzej czy później żołnierzy.

W każdym razie szybko pożałowałem swojej ciekawości. Zaskoczyła mnie intymność opowiadania. Poczulem się nagle tak, jakbym z butami pakował się w czyjeś życie. Poczucie dziennikarskiego obowiązku, opisywania go takim, jakie ono naprawdę jest, stanowiło kiepskie usprawiedliwienie.

Zawód miłosny. Zakochał się chłopak na którejś z przepustek, a teraz, niedawno, otrzymał od swej dziewczyny list, że nie wytrzymała próby czasu, ma innego chłopaka i takie tam różne słowniki, które kobieta pisze mężczyźnie w liście tylko wtedy, kiedy jest pewna, iż choć, by ten jej więcej nie odwiedzał.

— Wbrew pozorom — wyjaśniał porucznik — dziewczyny nie idą za mundurem sznurem. Szczególnie w małych miasteczkach, w takich, w jakim stoi nasza jednostka, trudno żołnierzowi zaprzyjaźnić się z jakąś. Bywa, że prawie pół roku spędzamy poza koszarami. Na poligonie, w pracy dla gospodarki narodowej... Rozłąka nie sprzyja podgrzewaniu uczuć. A tak na co dzień? Dziewczyny są ostrożne. Uważają, że żołnierze to raptuści. Mają przepustkę do 21.30 i wszystko chcieliby otrzymać naraz.

Pół roku poza domem? Tak, służba jest ciężka i wymagająca, ale co się o niej wie w cywilu? Krąży w społeczeństwie trochę mitów i stereotypów o wojsku, o zarobkach kadry, o poźyciu małżonków... Patrzy się na to wojsko przez pryzmat telewizyjnego ekranu, odświętnych defilad. A tu żołnierska codzienność, szara, mozolna mitręga, karuzela służbowych obowiązków. Dni pekające w szwach, wypełnione zadaniami, dla których zrealizowania często doby nie starcza.

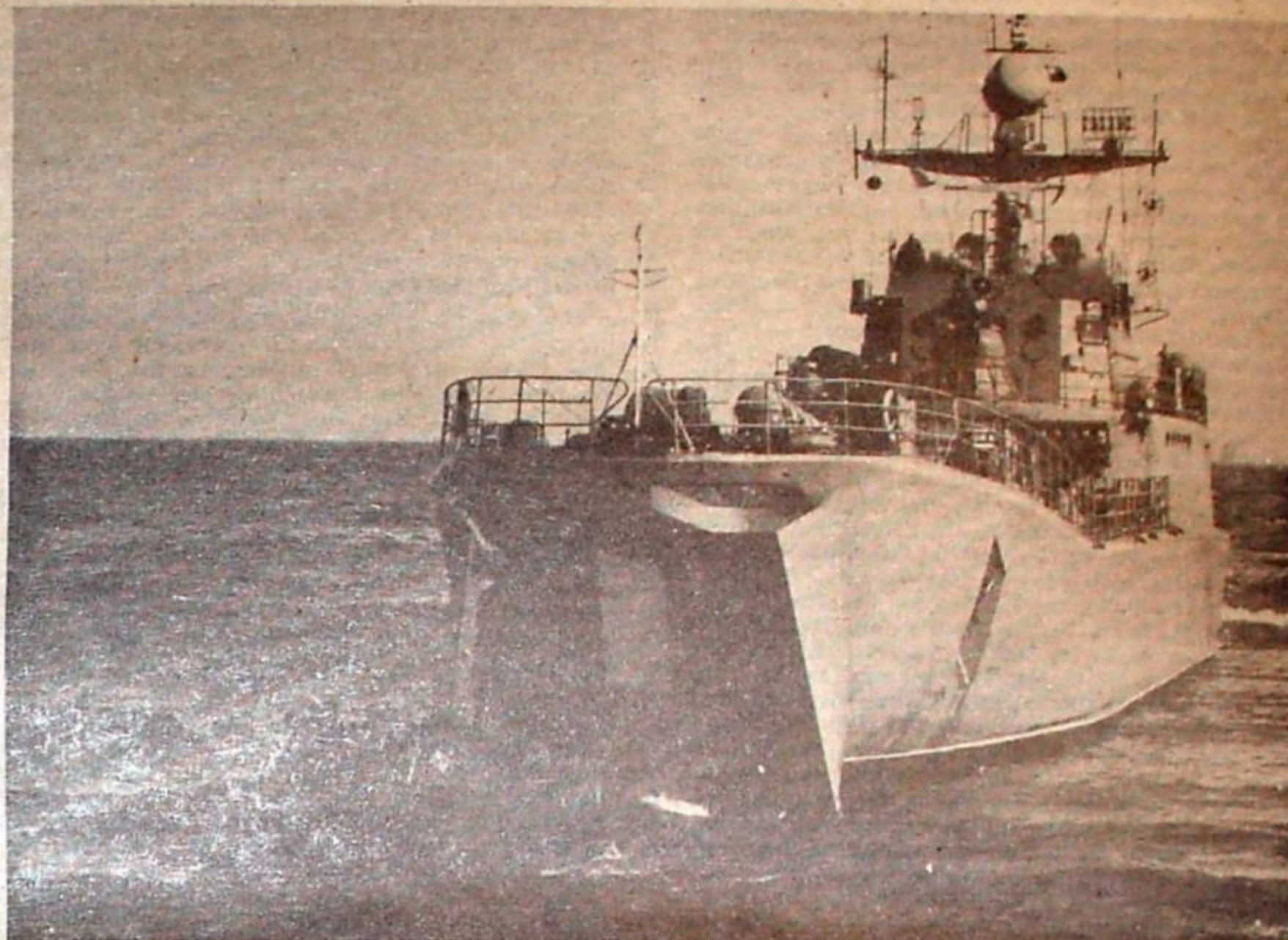
Szczególnie w czasie poligonów wiele jest pobudek przed świtaniem i bardzo późnych capstrzyków. Zmęczenie i trud — to ich chleb powszedni. Brzmi to trochę banalnie, stereotypowo. Ale każdy, kto mundur nosił, wie, że to prawda. Co chociażby teraz dręczy najbardziej jego podwładnych — brak snu. Marzą o tym śnie od dawna, jak o czymś nie-realnym.

— Żołnierze, którymi dowodzę — mówi oficer — w większości po raz pierwszy przechodzą tego rodzaju poligonowy szlif. Zajęcia w polu są więc dla nich sprawdzianem dotychczasowej wiedzy i nawyków, ale także umiejętności i mobilizacji. Tu, w polu, najszybciej ujawniają się prawdziwe cechy charakteru. Ileż jest tu sytuacji sprawdzających człowieka? Nie ma natomiast miejsca na sentymenty, patrzenie przez palce na to, co może być wykonane lepiej, a nie jest.

Tak naprawdę, porucznik jest oficerem o zbyt dużym stażu dowódczym, aby nie wiedzieć, że język poleceń i regulaminów, nie zawsze jest najskuteczniejszy w dialogu przelozonego z podwładnym. Ale musi być realistą. Przede wszystkim wy-

konać otrzymane zadania, ot co. Bez względu na warunki, porę roku i doby, kondycję fizyczną i indywidualne chcenia.

Właśnie tak — indywidualne chcenia. No bo o czym mogą myśleć żołnierze, skuleni w płytkich okopach, odepchnawszy kolejną pokusę snu, wgry-



Służba jest ciężka i wymagająca.

Fot. Ireneusz Sobieszczuk

zając się w twardą ziemię? Czują z pewnością, że owo kopanie w chłodzie i na wietrze, wśród wszechobecnego mroku i głuchego milczenia, to pełne męczącego napięcia wyczekiwanie świtu, staje się coraz trudniejsze...

— Ale nie można cisnąć łopota, pójść spać choćby do transportera, albo nawet obok, pod drzewo. Są żołnierską wspólnotą. Zgranym kolektywem. A to oznacza, że każdy robi swoje i że robi to dobrze. Zresztą... Są dobrze rozumiejącą się paczką, lubią się, są sobie potrzebni. Stosunki, choć sformalizowane, są wszakże bliskie i bezpośrednie. Dominuje pewność o wzajemnej pomocy, opiece. A także zwyczaj i tradycja oraz wyrastające z niej i symboliki autorytety.

regularnie opinie do sądu. Jak dotychczas, są one pozytywne.

A w jaki sposób wdraża on tych młodych ludzi, o odmiennych przecież charakterach, do dyscypliny wojskowej? Ta prawda rzuca się przecież w oczy każdemu, kto do odbycia służby wojskowej przychodzi. Po ostrzyżeniu i umundurowaniu poborowi upodobniają się do siebie. Rozkazy, wykonywane czynności, nawet jedzenie owo upodobnienie potęgują. Z tej perspektywy żołnierz, to pozbawiony indywidualności członek kolektywu.

— Ale przecież każdy z odbywających służbę — przekonuje oficer — świadomy obowiązującej w koszarach jednolitości, doskonale zdaje sobie sprawę, że dotyczy ona ubioru, może gestów i słów, ale nie myśli.

Człowiek nie ubiera się w mundur dzieckiem. Ma już za sobą lata życia, w których czegoś się tam nauczył. Rzeczy dobrych i złych. Mądrych i idiotycznych. I każdy czegoś innego. Miał przecież w cywilu swoje życie, nabył rozlicznych przyzwyczajzeń, nawyków i manier. Wszystko to składa się na jego indywidualność, dodatnią lub ujemną, wybitną lub mierną. Człowiek ceni sobie to, że jest inny. A zwłaszcza lubi swoje przyzwyczajenia. Kiedy założy mundur, musi się z nimi rozstać.

Nic dziwnego, że robi to z ociąganiem. Kiedy ma się osiemnaście lat, to wszystko jest fajne. Słońce jaśniej świeci, dni są dłuższe, pełniejsze wrażeń... Nawet kwiaty ładniej pachną i trawa jest bardziej zielona. Chciałoby się, aby tak było zawsze. A tu kierat służby, dzień rozplanowany co do minuty, robota na rozkaz...

— Ale wszystko, co w mozołach i trudzie się osiągnęło, cieszy najbardziej — dodaje plutonowy podchorąży, Jan Machnicki. — Gdy trzeba zmobilizować się do maksymalnego wysiłku, wtedy najlepiej poznaje się samego siebie.

Machnicki podkreśla, że odbywając służbę wojskową zrozumiał, jak wiele prawdy tkwi w żołnierskich stereotypach, z których tak często żartowali podczas zajęć z wojska na studiach. A to jest rzeczywiście prawdziwa szkoła życia. Czego się tu nauczył? Przede wszystkim tego, co znaczy męska solidarność, a także, że świat nie kręci się wokół niego, że nie warto być egoistą i żyć tylko dla szpanu, kolorowego czuba na głowie.

Dlaczego służby wojskowej się nie zapomina, mimo że on sam często psiloczył na konsekwencje noszenia żołnierskiego „garnituru”? Powodów jest wiele. Jest to wszakże okres w życiu każdego młodego człowieka wyjątkowy. Sprawdzian hartu, wytrzymałości, odwagi, samozaparcia. Egzamin dojrzałości — bez przesady — psychicznej i fizycznej odporności, wiary w siebie.



Mają różne charakter, nawyki, umiejętności. Ale wszyscy muszą działać jednakowo sprawnie.

Fot. Marek Chelminiak



A przecież odwaga, śmiałość w działaniu, wytrzymalność na trudy, to cechy charakteru, które ceni każdy człowiek, bez względu na wiek. A że dla większości mężczyzn służba w wojsku jest w życiu okresem, kiedy można się męskością wykazać... Stąd, po latach, snują się długie rodaków rozmowy o czasach, kiedy się mundur nosiło i było prawdziwym mężczyzną. I kiedy się o tym pomyśli, powiedzenie, że wojsko jest prawdziwą szkołą życia, wcale nie wydaje się banalne.

Porucznik uważa, że młodzi ludzie, którzy przechodzą do jednostki, mimo iż różni pod względem charakteru, wiedzy, umiejętności, tak naprawdę, po włożeniu munduru, stają się jakby kamykami tej samej mozaiki. Trud dowódców i wychowawców zamyka się w tym, aby móc je ułożyć na właściwych miejscach. Wymaga to nie tylko kwalifikacji pedagogicznych i psychologicznych, ale także zwykłych ludzkich cech, takich, jak wyrozumiałość, koleżeńskość, wiara w człowieka...

Nikt nie odmienia nikogo całkowicie w ciągu dwóch lat, ale przykłady dotychczasowej dowódczej i wychowawczej zapobiegliwości wykazują, że ci, którzy opuszczają jednostkę, wiedzą to wszystko. I to według porucznika jest jego największą dowódczą satysfakcją.

A on, w jaki sposób trafił do szkoły oficerskiej? Czy jest zadowolony z tego, co robi?

Foksiński twierdzi, że nie była to miłość do wojska od pierwszego wejrzenia, manifestowana już od wczesnego dzieciństwa. W miarę jednak zdobywania rozmaitych doświadczeń dostrzegał coraz więcej prawdziwych zalet tego zawodu — kształtowania osobowości innego człowieka, zamieniania jednego z drugim cywila w żołnierza, że aż „serce rośnie”. To na pewno może dać satysfakcję, nawet jeśli czasem ma ona domieszkę gorzkości, nawet wtedy, kiedy wejście do zawodu wynikało z życiowej konieczności.

Lubi to, co robi, choć nie zawsze jest to hurra- optymizm. Częściej zadowolenie umiarkowane, wyważone. Jednakże nie przeszkadza to w czerpaniu satysfakcji w służbie. Kto nie przeszedł wojska, nie pobył w owym stłoczeniu mężczyzn, nie pił z manierki, nie jadł z menażki byle jak, szybko, łapczywie, ten nie wie, że można zateknić do białego obrusa, odkryć urok ustawianych na stole talerzy, docenić rozkosz kromek pokrajanych niezbyt grubo...

Wiele drobnych, niedocenianych niegdyś rzeczy, nabiera nagle smaku i powabu. Rozkosznie kusi białe prześcieradło, na którym można położyć się w piżamie, bez przepracowanego dresu...

— Zawsze po powrocie z pola — zwierza się porucznik — przygotowuję sobie osobiście kolację. Wyżywiam się w tej kuchennej drobiazgowości, w gospodarzeniu kobiecym, nieżołnierskim.

Żołnierski trud... Oficer uważa, że dla kogoś, kto nie był w wojsku, słowa te znaczą niewiele. Jeśli się tego nie przeżyło, nie ma we krwi, czy można zrozumieć ich sens? Ot, pierwszy z brzegu przykład: ten kawałek płaskiej plaży, na którą właśnie weszli, zawiadnie na kilka godzin ich myślami, zmusi do wysiłku i w chłodnym, nieprzeniknionym milczeniu przyjmować będzie ich wyrzeczenia i pot.

Wkrótce potem znowu zbliżaliśmy się do plaży. Tyle, że tym razem od strony morza. Świder silnika wiercił mózg, aż do bólu. Stłoczeni w ciasnych pomieszczeniach kutra desantowego żołnierze, z pododdziału dowodzonego przez por. Zbigniewa Staszyńskiego, co chwila spoglądali do góry w czekanianiu na otwarcie luków. W rozedrganym wnętrzu kutra było ciemno i duszno. Huk pracującego na pełnych obrotach silnika nie pozwalał na żadne rozmowy. Siedzieli więc w milczeniu, ściskając kurczowo broń w irytującym oczekiwaniu. Tak jest zawsze, kiedy nie ma niczego do roboty, poza czekaniem.

Jęk syreny oraz czerwone światło alarmowej lampki, pulsujące w przedziale desantowym, postawiły wszystkich na nogi. To sygnał, że już blisko brzeg. Za chwile wyskoczą w morską toń. Rozpoczyna pozorowaną walkę o plażę. Światło, padające teraz przez otwarte luki, razi w oczy. Nie ma jednak czasu na marudzenie. Sprawnie, jak tylko można najszybciej, w ustalonej kolejności wychodzą na pokład i bez wahania wskakują do wody mozołnie, z uporem, walczą cierpliwie z falami, podążają w kierunku brzegu.

Nadmorska plaża spowita jest kłębam dymu i ognia. To efekt pozorowanego ataku lotniczego oraz artylerii z okrętów ubezpieczających ich lądowanie. Wreszcie osiągają upragniony brzeg. Kładą się na plaży z nogami w wodzie. Żeby mogli pójść dalej, saperzy muszą wykonać przejścia dla ludzi oraz ciężkiego sprzętu, który tam, za horyzontem, wiozą w czeluściach ładowni okręty desantowe.

Morski brzeg trzeszczy gęstym ogniem. Żołnierze desantu osłaniają pracujących saperów. Później, przez wykonane przejścia, pokonują zamknięty brzeg i z impetem atakują nadmorskie wydmy...

Wokół uwijała się fotoreporterzy, terkoczą kamery... Być może już jutro na ekranie telewizyjnym ukaże się reportaż z tych zajęć, gazety zamieszczą z nich zdjęcia. W komentarzu będą słowa o żołnierskim trudzie, odwadze, sprawnym działaniu... Zwyczajne słowa. Nic znowu takiego — w miarę nadęte, trochę banalne. Jakże inne jednak od tych, które padają w ich szarej, codziennej służbie, gdy trudno, i źle, i do domu daleko...

Włodzimierz Kaleta

Ryszard Liskowacki

## Jan pod Lenino

...Więc gdy się niebo skuliło się nad nami  
od tego huku, co światem potrząsał,  
od tego ognia, co okopy związał,  
by strach mógł skonać między transejami,  
wyszli my wszyscy już bez tego strachu,  
chłop koło chłopu, oddech przy oddechu,  
wierni — więc z wszystkich oczyszczeni  
grzechów,  
wierni — więc wszyscy patrzący na zachód.  
Stamtąd nas przecież wichury wyniosły,  
stamtąd nas przecież wyplukaty wody,  
a teraz wszystko w takich słowach prostych:  
powrócisz Janie do swojej zagrody.

A już kostucha rozpoczęła taniec,  
bośmy jej chcieli na nosie zaigrać  
Moje ty Polski trudne miłowanie,  
jeśli zgrzeszyłem, to mi dzisiaj wybacz,  
bom z gniewu dzisiaj tylko i z wrogości,  
bo litość teraz, to ziarno zatrute.  
Przejdę tym ruskim rozczłapanym butem  
przez wodę, ogień, byleby najprościej.

I tak w rozpędzie okopy my brali,  
po chłopsku, twardo i w zapamiętaniu,  
aż noc nas zmogła i wtedy nad nami  
orzeł już czuwał niby biały anioł.

## Jan pod Narvikiem

...Ale najpięknie była woda pod tobą  
wyższa od turni  
i jak pot żołnierski stona —  
My tu, panie podchorąży, nie z żalobą,  
nie przypląną z Limanowej  
sosnowe trumny  
po nas...

I daj mi tylko na urwisku,  
daj żywi. Tamtych weźmą rano,  
gdy szczytu w słońcu rzedem stana,  
gdy się otworzy fiond pod nami,  
jak się otwiera skrawek listu  
na który czeka się latami

A listy skąd? A słowa skąd te?  
Z pamięci słowa, z niepamięci —  
Ach, żeby hałny nas poświęcił,  
żeby nas ponad morzem przewiał,  
żeby nas przeniósł ponad frontem  
tam, gdzie czekają. Tam, gdzie trzeba.

Aby do świtu. Świtem latwiej,  
bo wtedy oczy myślą za nas —  
A nasza gra nie rozegrana.

a nasza iza ma długą drogę,  
Nie pierwsze my i nie ostatnie,  
co pod tułaczym legli progłem

Za tamtą skałą czuwa Niemiec,  
komu się spieszy, ten zostanie —  
A my tu jeszcze zrobim taniec.  
po podhalańsku, iskra w iskrę  
i gdy zejdziemy z gór na ziemię,  
powiemy: serca mamy czyste.

Czyste, jak krew, jak hejnał z wieży,  
z mariackiej, naszej, co jak skała  
będzie na wieki wieków trwała  
w czuwaniu, umieraniu, w śpiewie,  
aby powitał swych żołnierzy —  
— I nas powita także? — Nie wiem...

Aby do świtu. Trzymasz, Janie,  
ręce na koltbie, jak na twarzy —  
Co ma się zdarzyć, niech się zdarzy,  
musimy swoje swoim zanieść.  
— A gdzie ten Narvik? zapytają,  
gdy powrócimy już do kraju.  
— A coście stamtąd nam przynęśli?

— Lodowice w sercu zamiast pieśni.

## Jan w zamojskim lesie

Bukom nie wypiewam,  
sosnom nie opowiem,  
matkę mi zabił  
więc cóż tu po słowie?  
Ojca mi zabił,  
bo był moim ojcem,  
a do wioski przyszedł  
brzuchate folksdojce.  
Pił z naszych studni,  
jedli z naszych misek —

Zostań, Janie, w lesie  
jeśliś do nas przyszedł.  
Damy ci karabin,  
którzy pachnie Wrześniem,  
niech ci błogosławi  
nasze życie lesne,  
niech chłopska piechota  
gniew twój wyogromni —  
Kto raz łzę tu otarł,  
ten już nie zaskomli.

Roni ziemia obcym,  
nie rodzi, lecz roni —  
Trzeba przejść przez tune,  
by powrócić do niej.  
Do ukrytych słów  
słów trzeba się przyznać.  
— Czy to będzie czytanie?

— To będzie ojczyzna.  
I z tych łun, bo wioski  
dookoła płoną,  
w białej duszy Jana  
robi się czerwoną.

Strzelają dzis, ale  
nie musisz się kulić,  
tobie nie pisane  
lec od szkopskiej kuli.  
Tobie inny pogrzeb,  
tobie inny olów  
jeszcze nie zaczęto  
kopać twego dołu.

Synu chłopski, Janie  
na krzyżu twe ręce.  
Będiesz miał swój lipiec,  
lec niewiele więcej.  
Bo gdy twojej ziemi  
przyjdzie zmartwychwstanie,  
tobie żywot wieczny,  
synu chłopski, Janie.

A Jan z karabinem  
przez zamojskie lasy —

Gdy skłamało słowo,  
paskiem słowo zasyp.

Fragmety poematu „O upartym Janie, który był wszędzie”



# Gdański chrzest polskiej poczty

Zofia Mikulska

**W** SWIADOMOSCI narodu żyją polskie Terнопole z okresu II wojny światowej: Westerplatte i Poczta Polska, chociaż od tamtych lat minęło już prawie pół wieku. Jak tragiczny był koniec bohaterstwa, małej wysypki polskości na morzu teutońskiego barbarzyństwa, wiedzą dzisiaj wszyscy, natomiast wydarzenia związane z jej powstaniem, znają już tylko historycy.

Kiedy w 1924 r. otwarto na placu Heweliusza polską pocztę, nie zapowiadało wydarzeń, jakie niebawem nastąpiły. Wprawdzie Wolne Miasto Gdańsk, a zwłaszcza jego najwyższy organ rządząco-administracyjny, nazywany Senatem, już od momentu podpisania traktatu wersalskiego oraz konwencji paryskiej ustanawiających polityczną zależność Gdańska od Rzeczypospolitej Polskiej, bardzo często przekraczał granice swych kompetencji, usurpując sobie prawo do własnej polityki i dążąc, przy poparciu rewizjonistycznych Niemców, do uzyskania suwerenności państwowej, to jednak tendencje te aż do 1925 r. nie znalazły większego oddźwięku na forum międzynarodowym.

Pod koniec pierwszej dekady stycznia tegoż roku prawie wszystkie polskie dzienniki doniosły, że na założonych w obrębie portu przez polską pocztę skrzynekach listowych, w nocy z 5 na 6 stycznia zamalowano godła państwowe, a część tych skrzynek uszkodzono. Prasa informowała, że wśród sprawców owego ekscesu byli także członkowie Senatu. „Rząd w osobie p. ministra Strasburgera (Henryk Strasburger pełnił wówczas z ramienia rządu funkcję generalnego komisarza polskiego w Gdańsku — przyp. Z. M.) wystosował energiczne noty [...] z żądaniem reperacji i umieszczenia skrzynek na koszt Senatu gdańskiego, uczynienia władz policyjnych gdańskich odpowiedzialnymi za nowe ekscesy. [...] rząd polski musi zerwać z polityką pobłażania” — pisała gazeta „Ziemia Lubelska”.

Senat gdański nie spodziewał się zapewne tak zdecydowanej reakcji ze strony Polski; przeprosił więc obecnego tam polskiego komisarza, usiłując mu zasugerować, że był to wybrzyk elementów kryminalnych, bez podłoża politycznego. Równocześnie jednak niektóre niemieckie dzienniki tam wychodzące zaczęły rozpisywać się o bezprawnych poczynaniach Polaków, uważając m.in. za takie umieszczenie owych skrzynek pocztowych w obrębie portu. Kiedy już nacjonalistyczna prasa niemiecka uczyniła wokół tej sprawy dostatecznie głośną wrzawę, wówczas dwulicowy, jak się okazało, Senat „odwołał się do komisarza Ligi Narodów z prośbą o wydanie decyzji stwierdzającej, że Polska działała samowolnie i bezprawnie, zakładając w porcie swoje urządzenie pocztowe”.

Ligę Narodów w sprawach spornych reprezentował tzw. wysoki komisarz, Mac Donnell (tak nazywał się ów Anglik piastujący wówczas te funkcje; nie mylić z Mac Donaldem, ówczesnym premierem Anglii), który przybył z ramienia LN do Gdańska i od pierwszej chwili zaczął poczynać sobie dość samowolnie. Otóż, ni mniej ni więcej, zaproponował on „naszemu generalnemu komisarzowi, [...] aby nakazał zdjąć z ulicy skrzynek pocztowe z orzełkami. Nasz komisarz kategorycznie odmówił zastosowania się do bezprawnego żądania p. Mac Donnella, który wówczas zagroził, że upoważni Senat gdański do zdjęcia skrzynek” — donosiły dzienniki. Uczynił tak istotnie, a przecież „żądanie komisarza LN jest niesłychaną usurpacją władzy, jest skandalem rozpanoszonego w Gdańsku komisarza z łaski LN (czytaj: Anglii) podtrzymywanego penami [...] ze strony nacjonalistycznej prasy niemieckiej. [...] Nie może on wydawać swych opinii i zarządzeń z własnego punktu widzenia, wydaje jedynie decyzje w sprawach spornych, które, o ile nie

zostały w przepisany terminie przyjęte przez obie strony, są pozbawione mocy prawnej, póki ich Rada Ligi [...] nie zatwierdzi” — tak na bieżąco komentował to dziennik lubelski.

Bezprawne postępowanie wysokiego komisarza postawiło w pogotowiu zarówno nasz rząd, jak i obradujący wówczas sejm, nie mówiąc już o bijącej na alarm prasie wszystkich odcieni. Nastąpiły dramatyczne godziny wyczekiwania na to, co uczyni gdański Senat. „Obecnie w Warszawie posłowie nie wychodzą z sejmiku i co chwila informują się u władz rządowych o przebiegu zatargu, również zmobilizowaną została prasa, która nieustannie urzęduje w gmachu Prezydium Rady Ministrów i gmachu sejmowym. [...] W kawiarniach i na ulicy mówi się tylko o Gdańsku”. Wicepremier Stanisław Thugutt przyjął dziennikarzy nawet o godzinie 23, by następnego dnia rano podali do publicznej wiadomości, że „rząd wysłał depezę do Ligi Narodów przestrzegając ją przed skutkami samowolnej akcji jej wysokiego komisarza”.

Gdyby doszło do usunięcia przez nacjonalistów gdańskich owych skrzynek pocztowych, Polska była zdecydowana na bojkot ekonomiczny Gdańska. Thugutt w dniu 13 stycznia tak mówił do posłów: „Siła odparcia będzie równa sile gwałtu. W stosunku do zarządzeń, których nie możemy uznać za legalne, musimy wnieść protest do Rady Ligi Narodów i wielkich państw [...] nadużycie przez to, że jest małym, nie przestaje być groźnym; gdybyśmy tolerowali małe nadużycia, rozzuchwalilibyśmy prawdopodobnie tych, którzy się ich dopuszczają i zachęcali ich do nadużyć większych”. Zaś „Ziemia Lubelska” od siebie dodawała: „Gdańsk już niejednokrotnie w ciągu 6 lat wykazał swój nieprzychylny, a nawet nieprzyjacielski stosunek do Polski, nasza dotychczasowa polityka w stosunku do W. M. Gdańska szła po linii ugody. [...] ale mały piesek gdański wychowany w kulturze siły nad prawem delikatność naszą brał za słabość”.

Na temat sprawy gdańskiej rozpisala się cała prasa europejska. Przychylnie Polsce stanowisko zajęły dzienniki francuskie; przeciw jechaliśmy z Francją na tym samym wózku: zwróconych jej przez traktat wersalski Alzacji i Lotarynki; Niemcy tak samo nie mogli strawić, jak naszego Górne Śląska, czy Gdańska. Natomiast Anglia, nie mając w Europie żadnych terytorialnych problemów, a zainteresowana utrzymaniem kolonii, które na mocy traktatu przeszły spod protektoratu Niemiec pod jej panowanie (Tanganyka zach., Togo zach., Kamerun) wyraźnie sprzyjała Niemcom, by w ten sposób ukierunkować ich rozszerzenia wyłącznie na Europę.

Polska, zgodnie z zapowiedzią, oddała sprawę do rozpatrzenia Lidze Narodów, a wobec W. M. Gdańska zaczęła stosować pewne niekorzystne dla niego posunięcia ekonomiczne. W 1925 r. tamtejsi kupcy zorganizowali Międzynarodowe Targi Gdańskie i komitet tych targów zwrócił się do Stowarzyszenia Kupców Polskich z propozycją wzięcia w nich udziału, lecz Stowarzyszenie zdecydowanie odmówiło. Tymczasem na terenie Gdańska zaczęto szykanować mieszkańców narodowości polskiej. „Napady na Polaków są na porządku dziennym. Nastroje nacjonalistyczno-niemieckie wzrastają. Koncerty muzyki policyjnej Wolnego Miasta kończą się zawsze pieśnią „Deutschland über alles” — pisano na łamach „Ziemi”.

Co tymczasem działo się na forum Ligi Narodów? Otóż obecny tam na czele delegacji polskiej minister spraw zagranicznych, Aleksander Skrzyński, zdecydowanie domagał się, przy poparciu Francji, respektowania postanowień traktatu wersalskiego, konwencji paryskiej oraz umów zawartych między Wolnym Miastem Gdańskiem a Polską; delegacja gdańska natomiast — donosiła o tym „Gazeta Warszawska” z 12 marca 1925 r. — usiłowała „prze-

# Dyskusja nad problematyką gospodarczą w ZSRR

Problemy gospodarcze, przyszłość radzieckiej reformy i związane z tym zagrożenia ponownie zaczynają brać górę w ogólnospołecznej dyskusji nad radziecką przebudową. O związanych z tym problemach pisze akademik G. Arbatow w artykule „Rozmyślenia nie-ekonomisty o gospodarce”, opublikowanym niedawno na łamach „Izwestii”. Przekazujemy obszernie fragmenty owej publikacji, która zainteresowała nas również z uwagi na dyskusje, które na ten temat toczą się i w naszym kraju.

**W** OSTATNICH latach — pisze G. Arbatow — mało który z tematów cieszył się takim powodzeniem wśród czytelników, jak właśnie sprawy gospodarki. Ekonomistów, a także przedstawicieli innych nauk społecznych, często poddaje się obecnie surowej krytyce i niewątpliwie — choć nie można tu zapominać, ile lat deformowano i utrudniano rozwój tych nauk — w pełni zasługują oni na taką krytykę. Nie sądzę jednak, aby nasza kadra zarządzająca była w stanie wcielić w życie choćby najlepsze programy i zalecenia dotyczące rozwoju gospodarki narodowej, wypracowane przez naszych najwybitniejszych ekonomistów. Wszak, jak dotychczas, nie udaje się jej wypełnić nawet tych decyzji partyjnych, które mają charakter dyrektywny.

Sytuacja taka ma, oczywiście, swoje przyczyny. Na określonym etapie naszej historii, w warunkach prawdziwie ekstremalnych, w celu realizacji programu forsownej industrializacji i umocnienia obronności kraju stworzono adekwatny do takich zadań model gospodarki, nazywany potem nakazowo-administracyjnym. W wyniku długiego i niezwykle silnego nacisku politycznego, jak również ideologicznego, ukształtowały się odpowiednie struktury organizacyjne, metody zarządzania, a także cały system normatywny, które służyć miały właśnie takiemu, a nie innemu modelowi gospodarki.

Czy była wówczas alternatywa? Jest to kwestia, którą obecnie zajmują się

historycy. Z punktu widzenia naszej praktyki dzisiejszej istota problemu polega na czym innym. Sprowadza się do pytania, czy przemyślany i mający już charakter dyrektywy partyjnej program radykalnej reformy gospodarczej może być „wmontowany” w system gospodarki nakazowo-administracyjnej, ukształtowany w poprzednim etapie?

Myszę, że trudności, które napotyka proces wdrażania w praktykę gospodarczą zasadniczo nowych elementów reformy (samodzielność przedsiębiorstw, rozrachunek gospodarczy, rentowność itp.), a także nowych form gospodarowania (np. umowy dzierżawne, spółdzielczość, wspólne przedsiębiorstwa) nie są czymś przypadkowym. Nie można ich też traktować wyłącznie jako wyraz braku umiejętności, czy też złej woli poszczególnych osób piastujących stanowiska kierownicze. Rzecz w tym, iż wszystkie te nowe elementy i formy organizacyjne są czymś absolutnie obcym gospodarce nakazowo-administracyjnej, przyjmują się z dużym oporem. Można nawet powiedzieć, iż bez stałego wsparcia „z góry” zostałyby one bardzo szybko odrzucone przez stary organizm gospodarczy.

Wniosek drugi — należy bezwzględnie doprowadzić do logicznego zakończenia pracy nad strategią (a być może i taktyką) praktycznej realizacji reformy gospodarczej, przejścia od starego do nowego modelu ekonomicznego.

W ostatnim czasie — zwłaszcza na XIX konferencji partyjnej i na plenum lipcowym KC KPZR — poczyniono w

Marek Danielkiewicz

Do Iwana Denisowicza \*)

Proszę się nie obawiać Iwanie Denisowiczu  
mroz zezłał i przerażająca jest myśl  
że zima mogłaby powrócić  
Rozstaliśmy się z niedostatkiem zupy  
Gorące kartofle łaskoczą gardło  
Nie zaskoczyła nas zmienna wibracja powietrza,  
tak podobna doświadczeniu wolności  
i przeżyliśmy kapryśną filozofię pół roku  
Teraz z uporem obstajemy przy pamięci  
Trudno jej nie wspólczyć  
gdy odstania odmrożone stopy  
A może tak już jest Iwanie Denisowiczu  
że „życie jest tylko chorobą przyrody”  
Nie pomogą znachorzy z wieprzowym pęcherzem  
pełnym grochu i ziaren nasturcji  
Nasza prawda ma smak dzikiego jabłka  
Sączy się jak krew z przegrzanej wargi  
Nie łatwo pozbyć się tej blizny  
gdy jedną wychwalają przeszłość  
a inni usiłują ulec niepamięci

\*) „Jeden dzień Iwana Denisowicza” — Aleksander Soltienicyn

\*) Z wiersza Wariama Szalamowa

Marek Danielkiewicz po raz drugi został laureatem Warszawskiej Jesieni Poczty. 21 września br. w Domu Literatury w Warszawie otrzymał z rąk Krzysztofa Gąsiorowskiego wyróżnienie za wiersz „Do Iwana Denisowicza”.

Warto przypomnieć, że od czterech lat trwa dobra passa poetów z Lublina: rok 1985 — Paweł Gembał (wyróżnienie), r. 1986 — Łukasz Manzarek (I nagroda), r. 1987 — Marek Danielkiewicz (I nagroda).



tym kierunku ważne kroki. Przede wszystkim wyraźniej określono priorytety, podstawowe zadania: poprawy zaopatrzenia w artykuły spożywcze, zwiększenia produkcji artykułów konsumpcyjnych oraz rozwoju sfery usług.

Na konferencji postawiono i inne zadanie: problemy związane ze strategią ekonomiczną okresu przejściowego. Jeden z nich dotyczy sprzeczności między dążeniem do pełnej realizacji przyjętego wcześniej planu pięcioletniego, a działaniami związanymi z realizacją reformy gospodarczej. Likwidacja tej sprzeczności nie jest sprawą prostą. Wybitny ekonomista amerykański, od dawna i z życzliwością obserwujący rozwój radzieckiej gospodarki, powiedział kiedyś podczas prywatnego spotkania: „Próbujecie przeprowadzić kapitalny remont domu, a jednocześnie chcecie żyć w nim normalnie. Ja na waszym miejscu, na jakiś czas, spróbowałbym gdzieś się przenieść”. Mnie osobiście — biorąc pod uwagę, że wyjechać z tego domu nie mamy specjalnie dokąd — przychodzi na myśl inne porównanie. Kiedy w czasie porodu trzeba ratować matkę lub dziecko, wybiera się matkę, gdyż będzie mogła ona urodzić nowe dzieci. Przez analogię można powiedzieć, że reforma — mimo wszystko — jest ważniejsza od planu bieżącego, tym bardziej, iż — jak to już widać obecnie — „dzieci” mogą być obciążone wadami genetycznymi, dziedzictwem praktyki nakazowo-administracyjnej: stosowaniem wskaźników globalnych, dysproporcjami gospodarczymi, orientacją nie tyle na potrzeby społeczeństwa, co na interesy resortów.

Inna sprawa, że z planu nie należy rezygnować. Trzeba go natomiast w sposób precyzyjny, przemyślany, a jednocześnie zdecydowany — skorygować.

Na konferencji postawiono jeszcze jeden niezwykle ważny problem strategii gospodarczej: jak uwolnić się od wszechwładzy resortów centralnych i zapewnić samodzielność przedsiębiorstw? Jednocześnie podnoszone były kwestie uporządkowania systemu zamówień państwowych i likwidacji niepotrzebnych ogniw oraz redukcji aparatu zarządzającego, co bezpośrednio dotyczyło już losów dziesiątków, a może i setek tysięcy ludzi, których trzeba zwolnić z pracy. Myślę, że w tym przypadku rzeczą o wiele bardziej humanitarną i ekonomiczną byłoby zdecydowanie się na wyższe koszty związane z wypłatami nawet szkodliwych zasiłków i emerytur, aniżeli sztuczne powstrzymywanie likwidacji niepotrzebnych organizacji biurokratycznych. Rzecz w tym, iż to, co zbudne, z reguły nie tylko nie przynosi pożytku, ale wręcz szkodzi.

I jeszcze jeden problem dotyczący strategii. Istnieje dość szeroki krąg problemów bolesnych, a przy tym dobrze

znanych. Do nich należą: olbrzymie marnotrawstwo owoców i warzyw, a także innych kultur rolnych, wręcz chroniczny już import ziarna, patronacka pomoc instytucji miejskich przy pracach polowych, fantastyczna wielkość nie dokończonych inwestycji itp. Sprawa nie polega na tym, aby do mnóstwa już obowiązujących programów i uchwał dodawać jeszcze kilka nowych. Problemy, o których mowa, trzeba po prostu w końcu rozwiązać. Jakich działań to wymaga? Przede wszystkim nie można tolerować sytuacji, które, nie wiadomo dlaczego, zaczynają być traktowane jako coś normalnego, zwyczajnego. Winni muszą ponosić odpowiedzialność administracyjną i materialną, aż do samej góry.

Trzeci wniosek zawiera się w stwierdzeniu, iż obecnie wzrosła niepomniernie cena czynnika czasu. Na pewno większość naszych ludzi znakomicie rozumie, że realizacja wszechogarniającej reformy gospodarczej, rozwiązanie problemów, które narastały całymi latami, dokonanie strukturalnych zmian w gos-

podarce narodowej, modernizacja przemysłu maszynowego — wszystko to należy do zadań, których spełnienie wymaga wielu lat. Jednocześnie narasta jednak zniecierpliwienie, niezadowolone z efektów tego, co dokonano już w gospodarce.

Czas staje się obecnie czynnikiem decydującym. Nie można dopuścić do tego, aby zaczęło się rodzić poczucie rozczarowania, braku wiary i sceptycyzmu.

W uzupełnieniu jeszcze o czterech problemach. Sprawa pierwsza: konkurencja. Uwagi Lenina dotyczące monopolu przyzwycailiśmy się odnosić wyłącznie do kapitalizmu. Tymczasem przez długie lata nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego, że takiej monopolizacji, jaka występuje w naszym kraju, prawdopodobnie nie zna żaden inny kraj na świecie. Mogliśmy się już zresztą przekonać, że socjalistyczne monopole mogą być źródłem nie mniejszej zgnilizny niż kapitalistyczne. Tu właśnie tkwią korzenie zjawisk negatywnych występujących na szczytach w takich dziedzinach, jak ceny, poziom postępu naukowo-technicznego itp. Logiczną konsekwencją pozostawienia bez kontroli monopolu jest natomiast pełne lekceważenie interesów konsumenta. Dlatego też uważam, iż nie będzie przesady w stwierdzeniu, że bez przemyślanej i konsekwentnie realizowanej polityki

antymonopolistycznej — przebudowa gospodarki po prostu się nie uda.

Już teraz trzeba stworzyć takie warunki, aby nasi wytwórcy byli zmuszeni konkurować z firmami zagranicznymi, w tym także z krajów kapitalistycznych. Można to zrealizować pod warunkiem, że wprowadzi się realistyczny kurs rubla i stworzy warunki dla jego wymiennalności. Wówczas nabywca będzie miał wybór: albo kupi dany wyrób — chodź tu zarówno o środki produkcji, jak i towary konsumpcyjne — u producenta krajowego, albo też u zagranicznego, jeśli jego towar okaże się lepszy, nawet jeśli będzie on kosztował bardzo drogo.

Kolejny problem wiąże się z istnieniem całych olbrzymich sfer działalności ekonomicznej — już zdeformowanych, które przerodziły się w coś pasożytniczego, szkodliwego dla społeczeństwa i sprzecznego z jego zasadami moralnymi i duchowymi. Chodzi zwłaszcza o handel, żywienie zbiorowe i znaczną część usług. Sytuacja, jaka istnieje w tych dziedzinach, może spro-

ubięgnąć pytanie: no dobrze, a skąd wziąć środki, aby można było się naprzód, a jednocześnie zlikwidować błędy, które popełniono w poprzednich latach?

Już wcześniej potrzebne nam są duże źródła środków. Głównym z nich — i o tym coraz częściej i głośniejsze mówią nasi ekonomiści — może stać się rezygnacja (pełna lub tylko na pewien czas) z realizacji wielu drogich i mało efektywnych ogólnonarodowych programów i budów. Mamy ich stanowczo zbyt dużo. Dojrzała już konieczność dokonania swego rodzaju „inventaryzacji” i otwartego, publicznego zastanowienia się nad przyszłością inwestycji, których budowa przeciąga się w nieskończoność. Dotyczy to zwłaszcza tych wielkich, a tym bardziej gigantycznych przedsięwzięć. Jest jednak i takie źródło środków jak ograniczenie nadmiernych wydatków w sferze obrony i zastąpienie ich aktywnym wykorzystaniem możliwości politycznych zapewnienia bezpieczeństwa. Nie jest to zadanie łatwe, ale taką właśnie

## Czas czynnikiem decydującym

wadzić do zera wszelkie osiągnięcia przemysłu i rolnictwa. Tak więc bez głębokiej przebudowy, prawdziwej rewolucji w tych dziedzinach, nie da się rozwiązać nawet najważniejszych zadań, związanych z poprawą poziomu i jakości życia obywateli radzieckich. Sprawy te interesują nas wszystkich, również w związku z toczącą się w prasie dyskusją o cenach. Wydaje mi się, że wielu naszych ekonomistów z niepokojem patrzy na monstra, które sami pomogli stworzyć. Proponowana przez nich reforma zasad cenotwórstwa, trafiając do biurokratycznych kancelarii, szybko przekształciła się w propozycje dotyczące podwyżek cen, jako uzupełnienie tych, które już dokonują się po cichu i — jeśli można tak powiedzieć — żywo.

W dyskusjach o reformie cenotwórstwa niesłusznie wydaje się samo założenie, zgodnie z którym przebudowa wymaga rzekomo nowych ofiar. Nie twierdzą, że system cenowy nie wymaga radykalnej reformy, jednakże zmiany cen powinny być dokonywane nie tylko w ten sposób, aby nie powodowały one obniżenia poziomu życia ludzi, ale były one zgodne z programem ogólnego jego podniesienia. Jest to niezwykle ważny problem, przy czym nie tylko społeczny, ale i ekonomiczny. Po prostu nie podnosząc poziomu życia, na pewno nie uda się osiągnąć odpowiedniego poziomu w gospodarce.

drogę otwiera nowe myślenie polityczne.

I wreszcie ostatnia kwestia. Gospodarka administracyjno-nakazowa jako niezbędny instrument swojego działania wykorzystywała przymus pozako-nomiczny, stosowała represje administracyjne i sądowe. Upowszechniła się praktyka prześladowania i rozprawiania się z działaczami kierowniczymi — tymi wykazującymi największą inicjatywę, przedsiębiorczy, łamiącymi biurokratyczne ograniczenia.

Biorąc pod uwagę ogromną szkodliwość ekonomiczną i społeczną takich praktyk, celowe byłoby zaproponowanie utworzenia przy KC KPZR specjalnej komisji, która rozpatrywałaby ponownie tego typu sprawy i zajęła się rehabilitacją oraz przywróceniem dobrego imienia tym działaczom, którzy zostali niesłusznie skazani w procesach gospodarczych.

Kończąc, chciałbym powtórzyć raz jeszcze: powodzenie radykalnej reformy ekonomicznej, tak jak i całej przebudowy wymaga pełnego zaufania ludzi do politycznej Kłii partii. Muszą oni być pewni, że jeśli dziś wezmą w dźwierzawę gospodarstwo, staną się farmerami, zorganizują spółdzielnię, czy też zaczną wykorzystywać swoje prawa jako gospodarzy przedsiębiorstwa — to jutro, czy pojutrze nie zostanie to zmienione.

## Dwugłos o Leonidzie Breżniewie

### Jak zaczynał dzień?

Flodor Burlacki zamieścił na łamach tygodnika „Literaturnaja Gazeta” obszerny tekst pt. „Breżniew i klasa „odwiliży”. Drukujemy fragment tej publikacji:

**S**WOJ robotcy dzień w pierwszym okresie po dojściu do władzy Leonid Breżniew zaczynał w sposób niezwykły — minimum dwie godziny poświęcał na telefony do innych członków najwyższego kierownictwa, wielu sekretarzy komitetów centralnych republik związkowych oraz komitetów obwodowych. Mówił on zwykle w tym samym stylu: wiece, Iwanie Iwanowiczu, my tutaj właśnie przygotowujemy i chciałbym się was poradzić, poznać wasze zdanie... Można tylko sobie wyobrazić, jakim uczuciem dumy napelniało się serce Iwana Iwanowicza w takich momentach. W ten sposób jednak umacniał się autorytet Breżniewa. Rodziła się opinia o nim jako o przystępnym, spokojnym i delikatnym przywódcy, który nawet kroku nie zrobił bez zaskięgnięcia rady innych towarzyszy i bez uzyskania pełnego poparcia ze strony kolegów.

Przy rozpatrywaniu różnych problemów na posiedzeniach Sekretariatu KC czy też

Prezydium — Breżniew prawie nigdy nie występował jako pierwszy. Pozwalał najpierw wypowiedzieć się wszystkim chętnym, uważnie się przysłuchiwał i jeśli nie było zgody — z reguły proponował odłożenie rozstrzygnięcia w celu dopracowania materiałów, uzgodnienia ze wszystkimi i wnieślenia do ponownego rozpatrzenia. Tak oto za czasów jego rządów rozkwitła wspaniale praktyka dokonywania wieloetapowych uzgodnień, zbierania dziesiątków podpisów pod dokumentami, co bardzo często stopowało rozwiązania lub też ostatecznie wypaczało sens przyjmowanych decyzji.

Zupełnie odwrotnie postępował natomiast Breżniew przy rozstrzyganiu spraw kadrowych. Kiedy już był zainteresowany jakimś człowiekiem, wówczas stawał swój podpis jako pierwszy i osiągał to, czego chciał. Świetnie opanował on przy tym stalinowską formułę, że kadry decydują o wszystkim. Stopniowo, po cichu i prawie niezauważalnie udało mu się zmienić ponad połowę sekretarzy komitetów obwodowych, znaczną część ministrów, wielu szefów centralnych instytucji naukowych. Do niego należało ostatnie słowo przy rozdziale nagród leninowskich i państwowych. Breżniew zresztą w ogóle wolał zajmować się nie tyle produkcją, co przede wszystkim rozdziałem. Swoje zadania znakomicie tu rozumiał i nie lenił się zadzwonić do człowieka, którego nagrodzono orderem, a tym bardziej tytułem bohatera pracy socjalistycznej, pogratiłować mu i pokazać tym samym, że decyzja wychodziła osobiście od niego.

Jeśli więc mówić o stylu breżniewowskim, to polegał on właśnie na tym. Ludzie jego pokroju nie są zbyt kompetentni przy rozstrzyganiu problemów merytorycz-

nych ekonomii, kultury czy polityki. Za to świetnie wiedzą, kogo i gdzie mianować, czym i kiedy nagrodzić. Leonid Iljcz musiał dobrze się napracować, aby ulokować na stanowiskach kierowniczych — w organizacjach partyjnych, w gospodarce, nauce i kulturze — przodowników takiego właśnie stylu, „małych Breżniewów”, nie spieszących się, niezbyt wybitnych i nie bardzo przemijających się sprawami, za to umiejętnie dysponujących różnymi wartościami...

### W pamięci wnuka

**G**DY umarł mój dziadek, sekretarz generalny KC KPZR, Leonid Iljcz Breżniew — pisze Andriej Breżniew na łamach „Moskowskich Nowosti” — miałem 21 lat. Byłem studentem piątego roku moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych. Kochałem swego dziadka, byłem z nim mocno związany. Wszystkie dni wolne wraz z innymi wnukami spędzałem na jego daczcy. Każdego lata razem odpoczywaliśmy na Krymie. Pozostał w mej pamięci jako wesóły, uczynny, dobry człowiek. W ostatnich latach swego życia, co prawda, bardzo osłabł, ciężko chorował. Mocno bolał nad zachowaniem swych dzieci, które, niestety, kompromitowały go. Ograniczył swe kontakty ze światem zewnętrznym. Gdy był na daczcy, większość czasu spędzał na górze, w gabinecie. Chę-

nie prowadził długie rozmowy z szefem osobistej ochrony, A. Riabienką, który był jego kolegą pułkowym i jednym z niewielu ludzi darzonych bezgranicznym zaufaniem. Widzieliśmy, jak stopniowo gasł. Było go nam bardzo żal.

Gdy umarł, najmniej myślałem o tym, że rozpoczyna się nowy rozdział w moim życiu, być może mniej pomyślny i uporządkowany. Nie, ból był zbyt duży. Sądząc na podstawie gazet, razem z nami bolal cały kraj.

Wkrótce jednak wyjaśniło się, że z nazwiskiem dziadka wiąże się okres застоju w życiu społecznym i ekonomicznym, że właśnie wówczas, gdy znajdował się u władzy, rozkwitła korupcja, została ograniczona demokracja, doszło do upadku wielu gałęzi przemysłu i rolnictwa. Kraj stoczył się na skraj kryzysu, z którego nie może wydostać się do dzisiaj.

Nie twierdzą, że wiadomości te były dla mnie odkryciem. Miałem uszy i oczy otwarte. Jeździłem po kraju, pracowałem w młodzieżowych brygadach budowlanych, obserwowałem życie. Od przyjaciół ze szkoły, a potem z Instytutu, dowiadywałem się różnych rzeczy. Przekazywali mi oni także krążące wówczas anegdoty, których bohaterem był mój dziadek. A więc coś nie-coś wiedziałem.

A czy Leonid Iljcz zdawał sobie w pełni sprawę z tego, co działo się w kraju? Myślę, że nie zawsze. Był szczerze okrzyty przez rozlicznych

Dokończenie na str. 12—13



# Odgłosy

## Znak Szatana

Eugeniusz Iwanicki

**M**IASTO żyje pod presją strachu. Od chwili, gdy zatrzymano podejrzanego o dokonanie bestialskich mordów na nieletnich chłopcach, poczucie niebezpieczeństwa ogarnęło społeczność grodu trybunalskiego i najbliższych wiosek. Wyznawcy Szatana zapowiadają bowiem okrutną rozprawę: ryszotkami popłynę krew, a domostwa staną w płomieniach. Szatan zstąpi na Ziemię i po wsze czasy nastanie jego królestwo.

Z Grzesiem Galasińskim, który pojechał ze mną w podwójnej roli (fotoreporter i kierowca), zatrzymujemy się po drodze w podpiotrkowskiej wsi Wola Kamocka. Cmentarz jest trochę z boku, wśród pól, jakieś sto pięćdziesiąt metrów od drogi. Mały wiejski cmentarz otoczony betonowym murem. Pusto. Zimno. Dokuczliwy wiatr. Bez trudu odnajdujemy grób dwunastoletniego Artura Kawczyńskiego. Jest ogrodzony drewnianą palisadką, pokryty kwiatami. Nie widać jedynie śladów łez tych, dla których był szczęściem, miłością i nadzieją.

W Piotrkowie zaczynamy gromadzenie tak zwanych „materiałów dziennikarskich” od budynku Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych.

Przedstawiamy się dyżurnemu podoficerowi, mówiąc, że chcemy się widzieć z rzecznikiem prasowym.

— Spóźniście się — mówi. — Wszyscy już pojechali.

— Co, już — udaje zdziwionego, choć nie wiem kto i gdzie pojechał.

— Jakies dziesięć minut temu — mówi milicjant.

— A, niech to... — martwię się. — I co teraz?

Tu włącza się Grzesio:

— Dokąd pojechali?

— Jak to dokąd? Na wizję lokalną!

Teraz wszystko toczy się w tempie filmu kryminalnego. Pędzimy nad Bugaj, właściwie nad rzeczkę Wierzejkę nazywaną przez miejscowych Bugajką. Niestety, jakiś kilometr przed nią zatrzymuje nas milicjant na motocyklu, każe zjechać na bok, blokada drogi. Na bocznej drodze już stoi autokar i kilka samochodów osobowych. Znow ratuje nas przytomność umysłu. Mówię, że jedziemy wprost z komendy, że stamtąd właśnie nas skierowano, zresztą niech zapyta przez radiotelefon. Na nasze szczęście milicjantów nie udaje się połączyć i, zrezygnowany, przepuszcza nas. Po jakichś 200 metrach znow kontrola MO. Znow blefujemy. Potem już tych kordonów jest kilka: stoją na drodze, niektórzy z psami, pełno niebieskich nys. Skracamy wzdłuż grobli, gdzie Mariusz Trynkiewicz opowiada i pokazuje oficerom śledczym, prokuratorowi i rodzicom pomordowanych przez siebie dzieci drogę i sposób, w jaki ich zaczęli, zwabił do siebie itp. Przyglądam mu się z dość bliska (zatrzymano nas jednak jakieś pięćdziesiąt metrów od grupy pokazowej): w więziennym ubraniu, szczipły, z wąsikami, twarz spokojna, by nie rzec — obojętna... Opowiada o straszliwych zbrodniach, jakby opowiadał o pogodzie. (Ważny szczegół: w wizji lokalnej biorą udział wyłącznie matki chłopców, ojcowie nie zostali dopuszczeni). Myślę, że chodziło o bezpieczeństwo zabójcy, bo któryś z mężczyzn mógłby dokonać na nim samosądu.

Jednego z ojców, pana Stanisława Kaczmarka, spotkałem na przeciwnym brzegu zalewu. Spokojny, już stłumił w sobie ból, już pogodził się z własną niemocą wobec okrutnej, bestialskiej śmierci ukochanego Krzysia.

— Teraz — mówi — widzę tych szatanistów wszędzie. Krzys zginął 29 lipca, a 29 sierpnia ktoś w nocy zabrał psa z podwórza. Przecież obrozę i zabrał. Teraz chodzą tu jacyś i dopytują się o nas, czy bardzo rozpaczamy, co robimy, jak żyjemy. W Woli Kamockiej widziano czerwonego fiata, widzieli to także rodzice zamordowanego Artura Kawczyńskiego. Pasażerowie tego fiata pytali ludzi o nich, jak żyją, czy bardzo się martwią z powodu śmierci syna. Ja ich widziałem, tych szatanistów, jeszcze zanim porwano mi psa. Przed szwalnią spółdzielni „Nowa Przyszłość” znajdującej się na Wojska Polskiego. Było ich dwóch, tak gdzieś dziesięć latków, z czarnymi, odwróconymi krzyżami na piersiach, długimi włosami, w jasnych kurtkach. Ludzie powiedzieli, że pytali o rodziców Krzysia Kaczmarka, czyli o mnie i moją żonę. Chciałem ich dopaść, ale nie udało się. Tu teraz jest ich dużo, zjawiają się nie wiadomo skąd. Nie tak dawno przed ulicą Źródłaną pojawił się facet z różańcem do ziemi, czarny jakis. Ale też szybko uciekł.

Pan Stanisław wiezie nas na miejsce, gdzie znaleziono zwłoki trzech chłopców. Od Bugaja, jakieś dwa kilometry w stronę Koła, wjeżdżamy w las, na błotnistą, pośladowaną drogę. Po przejechaniu około stu metrów — wysiadamy. Stanisław Kaczmarek pokazuje miejsce pełne zwęglonych kawałków drewna.

— Jest wiele niewiadomych — mówi. — Człowiek, który znalazł chłopców, twierdzi, że ciała były ułożone na krzyż. Natomiast, gdy zawiła się milicja, już tworzyły trójkąt. A więc ktoś tu był, ktoś ich ruszał. Kto? Ja, proszę panów, na drzewie obok zawiesiłem obrazek Matki Boskiej z dzieciątkiem Jezus. Zamierzam wnieść w tym miejscu symboliczny nagrobek. Tylko czy nie zostanie zniszczony? Szatanisci się odgrają, choć osobiście się nie boję i jestem gotów stanąć z nimi twarz w twarz.

To ciągle podkreślanie, że wyznawcy Szatana są — i że się odgrają, znajdowało potwierdzenie u innych mieszkańców Piotrkowa, z którymi rozmawiałem. Jeszcze w czasie, gdy trwała wizja lokalna, z lasu mimo tak szczelnej obstawy milicyjnej, wyszedł mężczyzna, znajomy Stanisława Kaczmarka. On także dużo mówił o strachu, jaki ogarnął ludzi, szczególnie mających dzieci. Najgorzej jest z rolnikami mieszkającymi w oddalonych od wsi zabudowaniach, których dzieci muszą chodzić do

szkoły przez las lub do sąsiednich wiosek. Frekwencja już spadła, a co będzie jesienią i zimą, kiedy dni staną się krótkie?

— Jakże widzi pan wyjście? — pytam.

— Jeszcze nie wiemy, ale chłopcy chcą zorganizować grupy samoobrony. Chodź przeciw do życia.

Słucham tych wypowiedzi i jakoś nie mogę uwierzyć, że sataniści tak oficjalnie, beczelnie, a przy tym głupio, podkreślają swoją obecność w miejscu tylu straszliwych mordów. Chwilami odnoszę wrażenie, że to nie jakaś mała sekta czy grupka, ale potężna organizacja dysponująca niebywałą siłą, rozległymi wpływami i możliwościami. Siła, przed którą organa ścigania czują respekt lub wręcz jej się boją.

— Przesadzacie panowie — mówię. — Teraz strach dostał wielkie oczy, urósł. A czy ktoś z was spotkał się osobiście z pogrózkami ze strony czelci Szatana?

— Nie wierzy pan? — mówi mężczyzna. — To niech pan zobaczy, co tam pisze pod wiatą.

Sto metrów od mostu na rzece Wierzejce, obok sporego parkingu, na skarpie leśnej stoi drewniana wiatka przeznaczona dla tych, którzy chcą się tu zatrzymać na odpoczynek. Pod wiatą stół z rozpielowanego pnia i także wiaty. Na jednej z nich napis: „Zgwałcimy i porwiemy 4 następnych chłopców. SEKTA”. Nad tym odwrócony krzyż i podpis S.

Grzesio fotografuje napis i jedziemy do mieszkania Mariusza Trynkiewicza na ulicę Działkową 8 w Piotrkowie Trybunalskim. Zaledwie podjeżdżamy, już zbiera się tłum, ludzie czekają, kiedy milicja przywiezie tu zbrodniarza. Ale ludzie się boją.

Mówi Wincenty Czyżykowski, mieszkający piętro niżej:

— Patrz pan, w antabie zamku są cztery wystające nity. Pierwszy pojawił się po zaginięciu tego pierwszego chłopca, Wojtka Pryczka. Te trzy — po zaginięciu ostatniej trójki.

Oglądamy drzwi (mieszkanie zapłombowane). Istotnie, są owe cztery nity. Ale najciekawsza jest wizytówka; w prawym górnym rogu Mariusz Trynkiewicz wyciął okno więzienne. Jest zielone, widać wyraźnie kratę. Wykonał to po warunkowym zwolnieniu z więzienia, czyli latem tego roku.

Mówi inny sąsiad, Wiktor Szymański:

— Chodźcie, panowie, do piwnicy, to też warto zobaczyć.

Idziemy.

O proszę, wszystkie antaby pomalował na czarno, a ten smród, to lizol. On tu trzymał zwłoki tych pomordowanych, a kiedy już zaczęły cuchnąć, oblał wszystko lizolem.

## W pamięci wnuka

Dokończenie ze str. 11

doradców i współpracowników. Czasami zwykle pochlebstwa brał za dobrą monetę, a przecież każdemu zależało na tym, by przedstawić swą sprawę w jak najkorzystniejszym świetle. Podobne niebezpieczeństwo czyha na każdego przywódcę: dopóki może on wszystkie niepowodzenia zrzucać na barki poprzedników, toleruje szczerą krytykę. Gdy jednak przychodzi czas na podsumowanie rezultatów własnej działalności, zaczyna się dezinformacja.

Zdecydowałem się jednak na napisanie tego artykułu nie po to, by usprawiedliwić Leonida Iljicza, pomniejszać jego osobistą odpowiedzialność. Nie zamierzam rozsądzać, czy dysponował on wszystkimi cechami niezbędnymi do tego, by kierować państwem. Uważam jednak za bardzo niesprawiedliwe przypisywanie jednemu człowiekowi winy za wszystkie niepowodzenia, za błędy popełniane przez jego współpracowników. To, że Leonid Breżniew stał się obecnie głównym bohaterem karykatur i plakatów politycznych jest zrozumiałe: jego nazwisko symbolizuje czas застою, a rozrachunek z przeszłością prowadzi się teraz na wielką skalę. Kiedy jednak na premierze filmu „Asa” widzę, jak muzycy rockowi grają i tańczą na ogromnym portrecie Breżniewa rozłożonym na scenie, wywołuje to mój zdecydowany protest.

Powtarzam jednak: nie po to zabierałem się do pisania tego artykułu, by

podzielić się wspomnieniami o swoim dziadku, choć mógłbym wiele na ten temat opowiedzieć. Niepokoi mnie inna rzecz. Dlaczego kultywuje się nienawiść do dzieci i wnuków byłych przywódców politycznych? Nazywa się nas „dziedzicami”. Każde nasze niepowodzenie staje się przyczyną radości. Krąży wieści o niezwykłych bagactwach, jakie przypadły nam w udziale, o trzymających o zawrót głowy rozrywkach, jakim się ponoć oddajemy. Wszystko to trafia na łamy gazet, chociaż niestety obalają większość zarzutów. Niechęć ludzi do nas gośń. Znam osoby, które musiały zwolnić się z pracy, gdy opuścili je bliscy, kiedy odwrócili się od nich znajomi. I to z powodu głupich plotek. Wszyscy owi „dziedzice” byli uczciwymi, solidnie pracującymi, prawymi ludźmi. I w żadnym wypadku nie ponosili oni odpowiedzialności za błędy swych dziadków i ojców. Często powtarza się teraz, że syn nie może odpowiadać za błędy ojca, ale słowa te odnosi się wyłącznie do lat trzydziestych, natomiast zapominają się o nich, kiedy mowa o współczesności.

Być może jestem zbyt kateryczny w swych sądach. Nagromadziło się jednak we mnie wiele goryczy. Mam 27 lat i moje samodzielne życie dopiero zaczyna się, ale już teraz moje nazwisko staje się coraz częściej przeszkodą w różnych sytuacjach. A przecież chcę być tak traktowany jak wszyscy inni, bo jestem taki jak inni, chociaż wielu nie widzi nic poza nazwiskiem. Mam dwoje dzieci. One także noszą nazwisko Breżniew. Czy również będą musiały doświadczać tego samego, co ja? Mój brat, Leonid, pracownik Instytutu Chemii Organicznej Akademii Nauk

ZSRR, ma również dwoje dzieci — czy je czeka ten sam los?

Kiedy w prasie zaczęło się pojawiać moje imię, zastanowiłem się, czy dobrze żyłem do tej pory? A może zarzuty pod moim adresem są uzasadnione? Może ponoszę jakąś winę? Mogę jednak z ręką na sercu powiedzieć: nigdy nie wykorzystywałem tego, że mój dziadek był sekretarzem generalnym, nie czerpałem z tego żadnych korzyści. Wstąpiłem do partii zgodnie ze swymi przekonaniem i nigdy nie splamiłem imienia komunisty, obywatela swego kraju.

Chcę opowiedzieć o sobie. Największy wpływ na mnie miała matka, Ludmiła Władimirowna. Od dzieciństwa słyszałem od niej: „powinieneś być taki, jak inne dzieci”. Zarówno ja, jak i mój brat chodziliśmy do najwykleszej moskiewskiej szkoły. Wśród moich przyjaciół nie było dzieci wysoko postawionych funkcjonariuszy partyjnych. Mój przyjaciel ze szkolnej ławy, Andriej, pracuje teraz w ministerstwie żeglugi morskiej, jego ojciec był szoferem. Uczyłem się nieźle, ale nie powiedziałbym, że nauczyciele mi pobłażali — dostawałem dwójki tak jak inni.

Zresztą kolektyw uważam za wielką sprawę, choć może brzmi to banalnie. Nie chodziłem do przedszkola, wychowywałem się w domu i uważam, że właśnie szkoła zrobiła ze mnie człowieka. Lubilem chodzić do szkoły.

W domu nigdy nie mieliśmy gospośi. Mama prała, gotowała, robiła zakupy, pilnowała, byśmy odrobili lekcje. Nie wolno nam było nie chodzić do szkoły bez wyraźnej przyczyny. Mama jest z wykształcenia wykładowcą języka angielskiego, ale musiała zrezygnować z pracy, żeby zająć się rodziną. Finansowo pomagali nam Leonid Iljicz i Wiktorina Pietrowna Breżniewowie. Druga babcia, Antonina Grigoriewna, zajmowała się wychowaniem wnuków

(teraz niańczy dzieci moje i brata). Ani do szkoły, ani do Instytutu nikt nie woził mnie czarną limuzyną. Zawsze jeździłem autobusem lub chodziłem pieszo — mogą to potwierdzić wszyscy moi koledzy.

Na studiach byłem dowódcą brygady młodzieżowej, dwa razy wyjeżdżałem latem na budowy, po czwartym roku, tak jak wszyscy, przebywałem na obozie wojskowym. Chyba zgodzą się państwo, że praca na budowie w Kazachstanie, gdzie pojechałem po pierwszym roku nauki w instytucie, i przypisywane mi przygody w Monte Carlo, to zupełnie różne rzeczy.

A skoro już mowa o zagranicy... Chciałbym wyjaśnić tę sprawę. W końcu lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych mój ojciec, Jurij Leonidowicz Breżniew, pracował w radzieckim przedstawicielstwie handlowym w Szwecji. Wraz z rodzicami mieszkałem więc tam przez cztery lata. Chodziłem do radzieckiej szkoły (od pierwszej do czwartej klasy). Następny wyjazd zagraniczny odbyłem już po ukończeniu trzeciego roku studiów — byłem wówczas na międzynarodowym obozie studenckim i pracowałem na budowie w Bułgarii. Po czwartym roku, zgodnie z programem nauki obowiązuje w Instytucie Stosunków Międzynarodowych, wyjechałem na praktykę do Anglii, lecz musiałem wrócić po czterech miesiącach, gdyż zmarł Leonid Iljicz. Od tamtego czasu nie wyjeżdżałem za granicę, ani służbowo, ani dla rozrywki. Również jako pracownik MSZ nie byłem wysyłany na zagraniczne delegacje.



Gdy wychodzimy, okrążają nas kobiety. Teraz już powstało całe zbiegowisko. Wszystkie mówią naraz. Znowu słyszę o zagrożeniu, o ulotkach wieszanych lub rzuconych na klatkach schodowych, w których grozi się ogniem i mieczem dzieciom, bo wyznawcy Szatana Ziemię Piotrkowską uważają za świętą. Piszą, że zabijają jeszcze 50 dzieci. Tak mówi siwa staruszka, która taką ulotkę czytała. Pytam, gdzie jest teraz ta ulotka? Oddałam dziewczynce, o, z tego piętra. Grzesio Gałasiński pędzi na górę, ale okazuje się, że ulotki nie ma, zanieśono na milicję.

Kiedy wyrażam chęć porozmawiania z rodzicami Mariusza Trynkiewicza, wszyscy natychmiast go odradzają. Rodzice odseparowali się od społeczności, nikomu nie otwierają, z nikim nie rozmawiają.

— Przed blokiem — a osiedle jest ładne — nie ma wcale dzieci. Siedzą w domu. Młoda kobieta, trzymając za rękę dziewczynkę i chłopczyka, mówi, że kiedy je tak trzyma, to jest pewna, że żyją. Odprowadza je do szkoły i zabiera. Jeśli trzeba będzie, mówi, rzucę pracę, ale nie dopuszczę, aby dzieci znalazły się same na ulicy. Dość naczynałam się tych różnych ulotek.

Niejako na zakończenie pobytu w Piotrkowie odwiedzamy mieszkanie Wojtka Pryczka, tego, który zginał pierwszy. Jego zwłoki znaleziono jakieś 800 metrów od miejsca, gdzie leżały spalone ciała tamtej trójki. Matka, Zofia Pryczek, właśnie wróciła z wizji lokalnej. Jest załamana. Na twarzy tej kobiety została wypisana tragedia, jaką przeżyła. Jest nie tylko załamana, ale i rozgoryczona. Szczególnie ma pretensje do milicji, która, jej zdaniem, zbyt późno uwiaryła, że jej syn nie uciekł z domu, a zginął. Mówi: „Gdyby milicja zaczęła od razu szukać mego syna, tamta trójka żyłaby do dziś”. I zaczyna mi opowiadać, jak syn prosił, by zezwoliła mu pójść po raz ostatni na Wierzeje, jak potem przysłał widokówkę, jak po dwóch tygodniach nadszedł anonim z jego puklem włosów i ządaniem złożenia 50-tysięcznego okupu pod pomnikiem na Wierzejach. Na tym anonimie był odwrócony krzyż...

Słucham słów tej rozpaczliwie osamotnionej kobiety z pustymi oczami, w których zabrakło łez i przychodzi mi na pamięć antyczna Niobe zastygła w milczącej boleści.

— Nie mam syna — mówi. — Nie mam już nic. Zostały tylko te zeszyty z piątej klasy.

Ostatnią wizytę składamy na cmentarzu w Piotrkowie. Od cmentarza w Woli Kamockiej rozpoczęliśmy, kończymy także wśród mogił i krzyży. I jak tam, tu także trójka chłopców spoczywa na samym końcu, w pobliżu muru.

Jeszcze jedna plotka chciałbym się zająć. Twierdzi się mianowicie, że Leonid Iljcz znajdował się w niewoli kaprysów swoich domowników pokornie spełniając ich prośby i zachcianki, że dzięki niemu mogli oni załatwić wszystkie swoje sprawy. W rzeczywistości dziadek bardzo nie lubił, kiedy ktokolwiek zwracał się do niego z prośbą za pośrednictwem członków rodziny (wyjątek stanowiła jedynie Wiktoria Pietrowna). Wszystkim odpowiadał, żeby zgłosili się oficjalnie, przyszli w godzinach przyjęć. Wiedzieliśmy o tym i nigdy nie obarczaliśmy go prośbami. Mnie w każdym razie nie zdarzyło się to ani razu. Kiedyś, było to chyba rok przed jego śmiercią, samochód mój zatrzymał inspektor milicji drogowej i prosił, bym pomógł mu w załatwieniu mieszkania. Nie chciałem wierzyć, że nie miałem takich możliwości.

Leonid Breżniew nigdy nie usiłował tużować grzechów swej córki, a mojej ciotki Galiny Leonidownej. Wcześniej wyznajęła się ona spod jego ojcowskiej kontroli, nigdy się z nim nie liczyła, sprawiała mu ból. Wiem, że na ciotkę trudno jest wpłynąć. Ani ona, ani jej mąż, Jurij Czurbanow, nie uznawali żadnych zasad. Czurbanow był człowiekiem ograniczonym, wyraźnie pozostawał pod jej wpływem. Świeżnie rozumiał, że żonie zawdzięcza stopień generała, wszystkie zaszczyty i dostatek materialny (teraz już wszyscy wiedzą, skąd ten dostatek się wziął).

Galina Leonidowna ma córkę Wiktoria, która jest nie tylko moją siostrą cioteczna, lecz także bliskim przyjacielem. Jeszcze w szkole rozstała się ona z matką, nie mogąc pogodzić się z jej stylem życia. Wyprowadziła się z domu, nie chciała matki widywać. Miesz-

Krzysz Kaczmarek i Tomek Łojek leżą obok siebie, Wojtek Pryczek jakieś dziesięć metrów od nich.

Gdy stoimy nad mogiłą, przypominają mi się nagłe słowa ojca Krzysia, pana Stanisława Kaczmarka: „Mój syn miał dwa ciosy toporkiem w głowę i szesnacie pchnięć nożem”.

Zaiste, jest to dzieło Szatana!

Zdawałoby się, sprawa — przynajmniej dla organów ścigania i dla społeczeństwa — jest jasna: zabójca został ujęty, do winy się przyznał, nawet pokazał, gdzie i jak ukrywał ciała pomordowanych. Niestety, to zaledwie część prawdy. Na tę drugą część składa się wiele niewiadomych. A więc: czy jest możliwe, by w czteropiętrowym bloku nikt nie słyszał bójkę, szamotaniiny, krzyków pomordowanych? Nikt nie zauważył wynoszenia ciała? A sam fakt mordu? Jeśli nie podał chłopcom środków odurzających, to jak mógł jeden, nienadzwyczajnej postury mężczyzna zabić wszystkich trzech? Nie bronili się, czy co? Tym bardziej, że Krzysztof Kaczmarek uprawiał judo i karate. A może morderców było kilku? W rozmowie przed blokiem, gdzie mieszkał Mariusz Trynkiewicz, kobiety twierdziły, że na rozrzuconych ulotkach pisano, iż jeśli Trynkiewicz nie zostanie wypuszczony na wolność, to ulice Piotrkowa zostaną skapane w dziecięcej krwi.

W mieście panuje psychoza. Wykształcił się swoisty odruch warunkowy i ludzie gotowi są każdego przybyśza brać za sługę Szatana. Opowiadano, że jakiś podparty mężczyzna zaczął dziewczynkę. Może pytał o drogę, może o godzinę. To wystarczyło: został dotkliwie pobity i tylko cudem uniknął samosądu. Ludzie widzą i słyszą rzeczy symptomatyczne i dające do myślenia: jakieś ogniska ułożone w trójkąty, znaki pojawiające się w świetle ulicznych latarni. W lasach otaczających Piotrków jest ponoć obfity wysiew grzybów, ale nikt do lasów nie chodzi. Nawet już nie jeździ się drogami wiodącymi przez lasy.

Wczesnym wieczorem Piotrków Trybunalski stał się miastem wymarłym. Strach wyobrzył się wraz ze zmrokiem, by w nocy osiągnąć monstrualne rozmiary.

Rano, otworzywszy drzwi, ludzie przede wszystkim sprawdzają, czy nie ma gdzie kartki z wizerunkiem odwróconego krzyża i podgłowy z napisem „SZATAN”.

Mariusz Trynkiewicz w czasie wizji lokalnej raz jeden jedynie przejawiał odruch ludzkiego uczucia, a może był to z jego strony grzecznościowy zwrot, bo gdy znalazł się na miejscu spalania pomordowanych przez siebie chłopców powiedział: „Przepraszam matki tych dzieci, że sprawiłem im ból”.

kała u babci, która właściwie ją wychowała. Być może, właśnie słowa Galiny Leonidownej wpłynęła na negatywną opinię o całej naszej rodzinie. Niestety, bowiem życie osobiste naszych przywódców, ich rodzinne niesnaski i problemy pozostają poza sferą jawności. I dlatego rodzą się legendy, jedna bardziej absurdalna od drugiej.

Często musiałem odpowiadać na pytania kolegów: Czy to prawda, że Leonid Iljcz ma ogromną kolekcję obrazów? Czy to prawda, że posiada dziesiątki zagranicznych samochodów? Czy rzeczywiście pisze wiersze? Sądzę, że w demokratycznym państwie odpowiedzi na takie pytania powinny udzielać środki masowego przekazu. Ci ludzie jednak, którzy robili z mego dziadka półbożka, czerpali z tego osobiste korzyści i nie chcieli, by ludzie znali prawdę. Rezultat był taki, że oznaki wycieńczającej choroby były uznawane za symptomy marazmu, ograniczoności umysłu. Miękkosć charakteru i instynktowne dążenie do łagodzenia konfliktów traktowano jako tolerowanie niedbalstwa graniczące z działaniem przestępczym, niemalże jako świadome dążenie do rozwalenia gospodarki. Ofiarą braku jawności padł przede wszystkim sam Breżniew.

Jeśli chodzi o mnie, to jestem gotów podpisać się pod każdym swoim czynem. Nie zamierzam zmieniać nazwiska. Losy swoje wiąże z losami kraju. Wierzę w twórcze procesy realizowane obecnie przez partię, a wraz z nią przez naród. W miarę swych sił pragnę wziąć w nich udział. I nie są to puste słowa, lecz mocne przekonanie.

## Rozmowy z aktorami:



— Dziesięć lat temu debiutował pan w teatrze rolą typowo romantyczną. Pański wygląd predestynuje pana do ról romantyków. Czy nie sądzi pan, że romantyzm staje się niemożliwy?

— Ryzykowne pytanie... Rzeczywiście debiutowałem Kordianem — postacią typowo romantyczną. My, Polacy, jesteśmy na romantyzm szczególnie uczuleni. Właściwym byłoby chyba sformułowanie „na postawie romantyczna”. Czy to wszystko, co jest naszą mitologią narodową, po części naszą historią, można odesłać do lamusa? Myślę, że nie.

— Jak tak bardzo sprzeczna i ważne elementy aktorstwa, jak romantyzm i „siła przebiecia”, można pogodzić?

— „Żeby być dobrym aktorem, trzeba mieć odporność słońca i wrażliwość dziecka” — tak ktoś kiedyś nie najgłupiej powiedział. Trzeba być silnym wtedy, kiedy pracuje się dużo i nie jest się zauważonym. Najtrudniej taki okres czasu znosić wybitni, którym też zdarzają się lata posuchy. Trzeba mieć bardzo duży hart ducha i siłę, żeby to przetrzymać. Natomiast bez wrażliwości nie można uprawiać tego zawodu.

— Czy czuje się pan aktorem bardziej filmowym czy teatralnym?

— Aktorstwo jest zawodem usługowym, w którym proponuje się nam zagranie określonych ról, które akceptujemy lub odrzucamy. Widzowie znają mnie bardziej z ról filmowych, gdyż film, siłą rzeczy, dociera do większej liczby odbiorców. Występując w „Con amore”, niespecjalnie, niestety, kochanym przeze mnie filmie, miałem w Polsce dwumilionową widownię. Fakt nieosiągalny w wypadku spektaklu teatralnego, nie zarejestrowanego przez telewizję. Nie widzę siebie jako aktora filmowego. Po prostu praca w teatrze również bardzo mnie satysfakcjonuje.

— Nie uważa pan, że teatr podupada, że przyszłość to telewizja, video-kino?

— Jak długo widzę będzie pragnął spotkania bezpośredniego z drugim człowiekiem, znajdując na scenie odbicie swoich własnych problemów, tak długo teatr będzie potrzebny. Video, film, telewizja, to spotkanie mechanizmów z żywym odbiorcą. To sztuka w „konserwie” — zamrożona. Nie uważam, że teatr podupada... Wchodzimy w okres dekadencji — schyłku wieku. Zawsze w takim okresie mówi się o kryzysie, pewnej dezorientacji i przetworzeniu idei twórczych.

— Jak dzisiaj widać traktuje teatr?

— Coraz mniej ludzi chodzi do teatru, czyta książki, ale, być może, wkrótce to się zmieni i przestaniemy uważać kasety video za jedyną formę naszego kontaktu z kulturą. Teatr zawsze był i nadal jest sztuką elitarną, jest pewnym wyborem — świętem. Niestety, to święto ma dzisiaj często wymiar dnia powszedniego.

— Na ekranie coraz częściej kreuje pan typ bohatera o skomplikowanym wnętrzu... Czy takie postacie są ciekawsze?

— Rzeczywiście miałem to szczęście, że ostatnio reżyserzy obsadzali mnie w rolach dość skomplikowanych wewnętrznie. Na ubiegłorocznym Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni, zaprezentowane były trzy filmy z moim udziałem: „Życie wewnętrzne”, gdzie zagrałem postać męża, „Wierna rzeka” — postać Wiestniacyna i „Śmierć Johna L.” gdzie zagrałem Zbyszka Gąsiora — idola rockowego. To duża radość zagrać trzech tak kraciowo różnych bohaterów.

— Bardzo dużo mówiono na Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni o filmie Marka Koterskiego „Życie wewnętrzne”. Stworzył pan w tym obrazie wspaniałą postać. Czy nie jest to jedna z lepszych pozycji w pana dorobku artystycznym?

— Tego nigdy nie wie się na pewno. Nie jesteśmy w stanie na „zimno” ocenić swoją pracę. Myślę natomiast, że jest to jedna z ciekawszych i chyba najbardziej charakterystycznych ról, jaką kiedykolwiek mi zaproponowano w filmie. Wydaje mi się, że w miarę trafnie udało mi się zagrać tam bohatera mającego bardzo mało cech

## WOJCIECH WYSOCKI

# Odporność słońca wrażliwość dziecka

wspólnych z moimi prywatnymi. To zawsze jest frapujące.

— Czy praca była trudna?

— Miałem dość luksusową sytuację, gdyż przygotowaliśmy się z Joanną Sienkiewicz doś długo do tych ról. Pracowaliśmy w obrzywym skupieniu. Po pierwszych trzech tygodniach pracy i po obejrzeniu pierwszych materiałów byłem właściwie spokojny, ponieważ wiedziałem, że wszystko idzie w dobrym kierunku. Nieczęsto to mi się zresztą zdarza. Koterski jest szalenie konkretny, wie, co chce zrobić, potrafi doskonale pracować z aktorem.

— Jaka jest rola filmu i teatru we współczesnym świecie, sdanem pana, jako aktora?

— No wie pan... Pytanie jest tak serio i wymagające tak szerokiego rozwinięcia tematu, że rozsada ramy naszej rozmowy, a poza wszystkim nie czuję się zbyt kompetentny, by na nie odpowiedzieć.

— Zauważyłem, że jest w panu duża wrażliwość... A potocznie mówi się, że każdy artysta jest prótnikiem, który wierzy tylko w siebie...

— Jedno drugiemu nie przeczy... Muszę wierzyć, że jestem dobry w chwili podjęcia pracy — inaczej ona nie będzie miała sensu. Potrzebny jest w tym zawodzie bardzo duży stopień samoakceptacji. Trzeba zawsze wierzyć w siebie, by osiągnąć cel. Myślę, że aktor powinien połączyć w sobie dwa elementy: szaloną wiarę w siebie — w swoje możliwości, a z drugiej strony umieć stanąć z boku i zastanowić się, czy rzeczywiście wykonuje swoją pracę dobrze i jest naprawdę potrzebny.

— Mając takie wyobrażenie o swoim zawodzie czuje się pan zapewne aktorem spełnionym?

— Nie ma aktora spełnionego do końca, tak jak chyba nie ma do końca spełnionego człowieka. Chyba, że ktoś ma bardzo małe aspiracje, albo bardzo dobre samopoczucie. Moje ambicje są duże. Jedenaście lat pracy w zawodzie uświadamia mi, że nie jest źle.

— Co może pan powiedzieć o najbardziej gorzkich doświadczeniach zawodu aktorskiego?

— Jest to zawód bardzo „stresotwórczy”, podlegający nieustannej ocenie. Te oceny często bywają niesprawiedliwe i niekompetentne. Tworzy się opinie zbyt łatwo i nie stara się ich weryfikować. Mówię tu o części krytyki, którą cechuje, jak większość z nas, niestety, lenistwo myślowe. Zbyt łatwo „odcinają kupon” ci, którzy już coś osiągnęli i zbyt późno dostrzegają tych, którym sukces należał się wcześniej.

— Na podstawie pana kreacji filmowych i wypowiedzi można stwierdzić, że w życiu codziennym jest pan człowiekiem bardzo poważnym...

— Mam pewien dystans do rzeczywistości, nie nurzam się w niej bez oporów. Ale czy jestem „poważny”? Nie stać mnie chyba na absolutną powagę wobec życia, siebie i ludzi, bo to bardzo niebezpieczna ścieżka, która często prowadzi w „absolutnie poważne szaleństwo”.

— Jest pan aktorem warszawskiego Teatru Współczesnego. Czy ten teatr spotnia wszystkie gany (śleszy)?

— Jestem w tym teatrze jedenaście lat. To o czymś świadczy... Zagrałem sporo ciekawych ról. Ale nie rozmawiamy o idealach.

— Niewiele słyszy się o repertuarze pańskiego teatru. Na pewno nie jest on tak szany jak chociażby Teatr Stary w Krakowie czy nawet gdański Teatr Wybrzeże...

— Muszę przyznać, że tym stwierdzeniem doś mnie pan zaskoczył. Nie wiem, czy miał pan okazję śledzić ostatnie premiery w wymienionych przez pana teatrach, ale myślę, że „Mistrz i Małgorzata” w ostatnim sezonie czy „Mahagony” nie tak dawno temu, w niczym nie ustępują przedstawieniom z Gdańska czy Krakowa. A dalsze rozwijanie tego tematu traktowałbym jako osobistą zniewagę siebie przez siebie.

Rozmawiał: Bogdan Kunciewicz



# Ostatnia gazeta II Rzeczypospolitej

Stanisław Jadczak

**P**RASA polska we wrześniu 1939 roku to temat mający już swe liczne opracowania, ale — jak się okazuje — wciąż jeszcze niezbyt szczegółowe. Przynajmniej w przypadku tytułów drukowanych gdzieś na wschodnich rubieżach kraju, w warunkach szaleńczo improwizowanych, bez wydawców i właściwie wysiłkiem najwyższej kilku dziennikarzy.

W warunkach w miarę normalnych ukazywały się gazety jedynie w Warszawie. Jak pisze prof. M. Drozdowski: „gdyby ktoś we wrześniu 1939 roku oglądał rzeczywistość czytając warszawską prasę, nie przypuszczałby, że toczy się straszliwa wojna”. Mimo bombardowań funkcjonowały redakcje i drukarnie. Dla potrzeb gazet wydawano nawet biuletyn prasowy. Tak było do 24 września. Tego dnia po raz pierwszy nie ukazały się gazety w stolicy, obłożonej i odciętej od reszty kraju. Zabrakło prądu ze zbombardowanych elektrowni. Przenwa w druku trwała do 27 września — w tym czasie większość drukarni i redakcji pism warszawskich leżała już w gruzach. A mimo to, 27 września, z inicjatywy „Gońca Warszawskiego”, „Kuriera Porannego”, „Czasu” i „Wieczoru Warszawskiego” ukazał się pierwszy, ręcznie składany, numer „Gazety Wspólnej” z napisem „Wydanie bezpłatne”. Tę jednostronicową ulotkę rozklejano na murach warszawskich domów. Następnego dnia do grona współwydawców dołączyły „Express Poranny” i „Kurier Czerwony”: na małej stronicy znajdowała się odezwa gen. Rómmla o kapitulacji Warszawy, a poniżej o-

dezwa Komitetu Obywatelskiego i prezydenta Starzyńskiego.

Od 28 września do 1 października Warszawa była w rękach cywilów. Wojsko polskie opuszczało miasto, a Niemcy nie kwapili się jeszcze z wkroczeniem do śródmieścia. W tym okresie wychodziła nadal „Gazeta Wspólna”, „Kurier Warszawski” i „Czas”. W kilka dni później Niemcy rozprawili się z warszawskimi gazetami. 11 października 1939 roku ukazał się pierwszy numer gazdiniówki — „Nowego Kuriera Warszawskiego”.

Nie o prasie warszawskiej chcę jednak pisać. Była to bowiem we wrześniu 1939 r., a zwłaszcza po okrajeniu stolicy przez wojska niemieckie, prasa jednego miasta. W Polsce gazet warszawskich już nie czytano, nie docierały one do Lwowa, Wilna, Lublina. Tutaj, na terenach nie zajętych jeszcze przez wojska niemieckie, ukazywały się gazety lokalne, redagowane — trzeba to podkreślić — także przez dziennikarzy warszawskich. Znaleźli się oni na prowincji w wyniku akcji Ministerstwa Propagandy.

5 września 1939 r. przez Związek Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej, ówczesnego syndykatu dziennikarskiego, piki Mieczysław Wyżel-Seleżyński, zwołał warszawskich dziennikarzy do Pałacu Namiestnikowskiego, siedziby Prezydium Rady Ministrów na Krakowskim Przedmieściu. Podczas tej konferencji, będącej w zasadzie odprawą wojskową, przedstawiono dziennikarzom nowego ministra rządu pol-

skiego. Tego bowiem dnia utworzono urząd ministra bez teki z tytułem ministra propagandy. Został nim wojewoda śląski, Michał Grażyński. Dziennikarzom powiedziano, że w najbliższym czasie Warszawa będzie oblężona, w związku z czym powinni oni opuścić stolicę, udać się do miast prowincjonalnych i tam wydawać gazety dla ludności i wojska.

Spśród ok. 400 dziennikarzy warszawskich, członków syndykatu, ok. 100 opuściło wieczorem 5 września stolicę pociągami ewakuacyjnymi, jadącymi do Lublina. Po krótkim pobycie w Lublinie min. Grażyński wyjechał dalej, na wschód, pozostawiając w mieście swojego delegata, Tadeusza Katołbacha. Ustalał on przez 2—3 dni ton lubelskiej prasy. A był on wspaniały! Oto tytuły z „Expressu Lubelskiego i Wolińskiego” wydanego 8 września 1939 r.: „Z głęboką wiarą czekamy na dzień zwycięstwa”. „Zbliży się nieuchronnie dzień pogromu Niemiec”. W grupie dziennikarzy warszawskich, którzy wsparli swoimi piórami lubelską prasę, był (któżby inny?) Melchior Wańkowicz. Przyniósł on do redakcji „Expressu” doskonały felieton o 120 tys. ludzi, którzy opuścili Warszawę...

O warunkach w jakich wydawano „Express Lubelski i Woliński”, pisał w swoich wspomnieniach Wacław Gralewski, redaktor tej ukazującej się od 17 września gazety. Najbliższych współpracowników W. Gralewskiego zmobilizowano do wojska, pracownicy drukarni uciekli do pierwszych bombardowań Lublina, to samo zrobili pracownicy administracji gazety. W tej sytuacji pomoc dziennikarzy warszawskich była wprost nieoceniona. Jednostronicowe wydania „Expressu” zapamiętali oni wiadomościami z nasłuchów radiowych. Powstał wtedy w Lublinie lotny zespół dziennikarzy (jego członkowie nosili na ręku opakoski z napisem „Prasa”) przez cały dzień przemawiających w różnych punktach Lublina do społeczeństwa, przekazujących wiadomości uzyskane z nasłuchu radiostacji całej Europy. Gazeta ukazywała się też dzięki drukarzom ze Śląska. Ewakuowano ich właśnie do Lublina i tu stanęli przy maszynach drukarskich. Kiedy po bombardowaniu Lublina ekipa warszawska opuściła miasto udając się na wschód (wydawali tam własnymi siłami gazety m.in. w Pińsku, Łucku, Dubnie, w Równem, wspomogli redakcje gazet we Lwowie), a drukarnie „Expressu” unieruchomił brak prądu, przeniesiono jej produkcję do małych drukarenek w dzielnicach żydowskiej drukarenek poruszanych siłą ludzkich rąk. W ciągu siedemnastu dni wrześ-

nia — tak stwierdzał W. Gralewski — ukazało się ponad 300 tys. egzemplarzy „Expressu Lubelskiego i Wolińskiego”.

Sytuacja, jaka wytworzyła się po wkroczeniu Armii Czerwonej w granice Rzeczypospolitej, sprawiła, że w trzeciej dekadzie września zjawila się na Lubelszczyźnie druga fala ewakuacyjna, tym razem ludzi wracających z tułaczki po wschodnich województwach. Byli wśród nich również literaci i dziennikarze. Wielu z nich zatrzymało się w Chełmie, w redakcji „Kamienia”. Oddajmy głos Kazimierzowi Andrzejowi Jaworskiemu, który też wrócił zza Buga:

„W domu goście. Druga fala uchodźców literackich, Tadeusz Hollender z dziennikarzem Krukowskim, bratem Lopka, Stanisław Wasylewski z żoną. Jest i Jalu Kurek, który zatrzymał się w ekspozyturze „Kamienia” u Zenka Waśniewskiego. Wstrząsająca wieść o śmierci Czechowicza. Informacja o Warszawie, o bezładnym odrocie naszych wojsk, o szpiegostwie i zdradach. Domysły, kto zajmie Chełm. Niemcy czy Rosjanie. Gwar, hałas, plotki literackie, krzyżowanie się najróżnorodniejszych wiadomości, złośliwe dowcipy Hollendra. Zmęczony podróżą i nadmiarem wrażeń, zasypiam snem kamiennym.

W Chełmie mrowie ludzi. Uchodźcy przelewają się przez miasto autami, wozami i pieszo. Dalszy ciąg literatury: dawny futurysta Gacki, Polewka z Krakowa, Czereśniewski i Zytomirski. Dwaj ostatni zatrzymują się również w redakcji „Kamienia”. Krukowski z Hollendrem przygotowują „dodatek nadzwyczajny” do „Kuriera Porannego” z ostatnimi wiadomościami zaczerpniętymi z radia. Bo głód gazet, które nie nadchodzą...”

W takiej oto scenarii przygotowano i wydrukowano w Chełmie, na jednym z ostatnich wolnych od nieprzyjaciela skrawków Rzeczypospolitej, wydanie chełmskie „Kuriera Porannego” z datą 25 września 1939 r. Była to ostatnia gazeta — poza Warszawą — jaka ukazała się we wrześniu 1939 r. To zupełnie niezwykły epizod. Piszę o nim dzięki pracownikom Muzeum Okręgowego w Chełmie, którzy odgrzebali z zapomnienia tę gazetę. Muzeum dysponuje jednym, jedynym zachowanym do dziś egzemplarzem „Kuriera Porannego” — „Wydanie chełmskie”.

Zanim przedstawię bliżej to niezwykle wydanie, warto przypomnieć, jaką gazetę reprezentował „Kurier Poranny”. Wydawane od 1877 roku pismo miało charakter dziennika informacyjnego. Była to gazeta typowo warszaw-

## Gdański chrzest polskiej poczty

Dokończenie ze str. 10

prować uznanie suwerenności miasta”. Anglicy, zwłaszcza Chamberlain, popierali Niemców, „jednak zakusy angielsko-niemieckie — pisał ten sam dziennik — w sprawie suwerenności Gdańska, naruszające literę i ducha paktu Ligi, wywołują reakcję ze strony oficjalnych kół genewskich grupujących się w Sekretariacie Ligi i Sekretariacie wskutek tego ma popierać tęż polską”.

Tymczasem na terenie całej Polski odbywały się manifestacje ludności „na znak protestu — jak pisano — przeciwko zakusom niemieckim”. Ludność spontanicznie solidaryzowała się z polityką rządu. Szczególnie gorące poparcie otrzymał on od mieszkańców zachodnich terenów kraju.

Pierwszą z Genewy do Warszawy depesze z pomyślnymi dla nas informacjami nadesłał Stanisław Stroński, redaktor „Warszawianki”. Natychmiast cała prasa światowa poinformowała opinię publiczną o wygranej Polski. Szwajcarskie dzienniki nasze zwycięstwo komentowały bardzo życzliwie, w „Gazette de Lausanne” znalazł się artykuł pt. „Niech żyje Polska!”, Paryski „Matin” także szeroko i ciepło rozpisывał się na temat naszego państwa.

A jak zachowywał się Gdańsk? Niechaj odpowiedź stanowi tytuł wiadomości depeszowej Agencji Wschodniej

z dnia 18 marca 1925 r.: „Gdańsk opuszcza nos na kwintę”. Jednak nie na długo.

Rewizjoniści zaczęli ponownie imać się prowokacji. 4 kwietnia ta sama agencja podała, że w Gdańsku ukazały się proklamacje treści następującej: „Studenti niemieccy, przybywajcie do Gdańska i broncie politechniki niemieckiej przed zesławianieniem”. Oto inna jej wiadomość: „Z Królewca donoszą o wojowniczym nastroju, jakiego panuje w nacjonalistycznych kółach niemieckich. Odbywają się ćwiczenia wojskowe, w których udział biorą zarówno młodzież, jako i dorośli. [...] są to przygotowania do wojny z Polską”.

W Genewie Polska zwyciężyła, ale powściągliwa wobec naszego państwa Anglia zaproponowała, by przedmiot sporu wyjaśnić gruntownie od strony prawnej, w związku z czym sprawa trafiła do trybunału haskiego utworzonego przez L.N. zwanego wówczas Stałym Trybunałem Sprawiedliwości Międzynarodowej. I oto w dniu 6 maja 1925 r. wszystkie polskie dzienniki doniosły, że trybunał ów „wydał w sprawie polskiej poczty gdańskiej opinię przychylną dla Polski”.

Taki oto chrzest przeszła placówka gdańska, którą po czterech latach istnienia zmieniła filiterowska nawałnica.

Zofia Mikulska

## Poczta literacka

Stanisław M. Lublin. Dziękuję za miły list i życzenia. Wiersze przeczytałem z uwagą i mogę powiedzieć, że ma Pan troszeczkę talentu. W każdym razie udaje się Panu czasem metafory, która brzmi świeżo i odkrywczo. Jednak większość wierszy, i to zdecydowana, nie przedstawia żadnych wartości. Dotyczy to przede wszystkim utworów o tematyce olimpijskiej. Wiadać, że wioły Pan w nie dużo pracy, że ma Pan na wylot kulturę starożytną Grecji, pejzaż grecki opisany jest również z dużym znawstwem, ale brakuje w tym wszystkim życia, uczucia, ruchu, lekkości. Słowem — bardzo to próżne i nudne. Najlepsze (stosunkowo) są króciutkie liryki, a wśród nich najwartościowszy wiersz poświęcony wnuczce i ten zatrzymuję do druku. Bardzo podobal mi się także utwór „Słowa”, a w nim — nuta refleksji nad trwałością słów, które uznajemy — o ironio! — właśnie za coś ulotnego. Mądre to spostrzeżenie, dlatego ten wiersz też zatrzymuję. Na koniec generalna uwaga: jak się domyślam, ma Pan tzw. łatwość pisania i pisze Pan dużo i często (wzrak przysłał mi Pan 52 wiersze). Radziłbym pisać mniej, ale z większym namysłem, niech Pan bardziej ceni słowo. Polecam lekturę Różewicza, Herberta i Miłosza, a z klasyków — Kochanowskiego, który pod wieloma względami nadal pozostaje nieoścignionym mistrzem. Proszę odesłać się za rok.

Renata K. Gorzów Wielkopolski. Wniosekuję z wiarą, że jest Pani bardzo młoda i przeżywa coś podniosłego, szczęśliwego i dlatego chce Pani opowiedzieć o tym całemu światu. W takiej intymnej sytuacji rodzi się często chęć pisania wierszy i w jednym przypadku na tym jest to prawdziwa poezja. Wiele wskazuje na to, że takim właśnie rzadkim przypadkiem jest to, co Pani pisze. Po pierwsze — bardzo świeże metafory, jakiegoś niecodziennego skojarzenia podsuwają mi myśl, że posiada Pani niepospolitą wyobraźnię, a także — co u poetów ważne — odwagę. Pani nie boi się zestawiać

słów, które wydają się w pierwszym odruchu bardzo od siebie odległe. Po trzecie — nie jest to nudne, ale przeciwnie, przyciąga uwagę i treścią i formą, co z braku lepszego słowa nazwałbym pięknem. Jest bowiem w tych wierszach jakiś urok, odnosi się wrażenie obcowania z czymś niecodziennym, a na tym właśnie polega sztuka. Z piętnastu wierszy, jakie mi Pani przysłała, zatrzymuję cztery wiersze o czterech porach roku. I proszę o cierpliwość, albowiem kolejka w „Kamieniu” bardzo, bardzo długa.

Paweł Piotr P. Warszawa. Pański szkic o Elsie Canettim, oparty na jego dwutomowej autobiografii wydanej przez „Czytelnika” byłby interesujący, gdyby został lepiej napisany. Do druku nadają się jednak tylko fragmenty, całość sformułowana z zamysłu, co dość jest typowe u początkujących krytyków, którzy nie bardzo dobrze jeszcze wiedzą, co chcą w swoim tekście powiedzieć. A właśnie brak waku przedwodnego (nazwijmy to może inaczej: przewodnią myślą) jest tą zasadniczą wadą, która Pański tekst dyskwalifikuje. Zamiast pisać wszystko, co Pan wie o Canettim, zadowolby skupić się na jakimś jednym temacie. Takim np. świetnym problemem do rozważenia jest (o czym Pan zresztą napomyka) problem intelektualnego rodowodu pisarza żydowskiego, ukształtowanego przez kulturę Zachodu. Niech Pan to porówna i drogą intelektualną, jaką przechodził pisarz żydowski w Polsce (czy szerzej: na ziemiach polskich wówczas, kiedy nie istniało państwo polskie). Co za świetny temat do porównań, błyskotliwych analiz, hipotez. Ale musiałby Pan w tym celu bardzo dużo przeczytać, wyjść poza samego Canettiego, sięgnąć także po autobiografie innych pisarzy żydowskich piszących w językach europejskich. Zapewniam Pana jednak, że byłoby to świetny esej. Niech Pan spróbuje. Warto!

Kazimierz N. Odańsk, Dionizy S. Biały, stek, Marek J. Stalowa Wola. Na druk proszę za wcześnie. Polecam lekturę (uwaga!) klasyków, zwłaszcza naszych wielkich romantyków.



ka, najbardziej odpowiadająca (razem z „Kurierem Warszawskim” i „Gazetą Polską”) mieszczanństwu i stołecznej inteligencji. W latach trzydziestych „Kurier Poranny” stał się organem sąsiedzi, silnie popierał Ozon.

Gazeta miała charakterystyczną winiętę z sylwetą listonosza zastępującego literę „K”. Wychodziła codziennie rano, także w niedziele i święta. Kosztowała 20 gr. była więc dziennikiem — jak na przedwojenne czasy — drożym. Ale dawała czytelnikom aż dziesięć stron lektury. Strony 1—2—3 miały charakter informacyjny, na str. 4 zamieszczano artykuły publicystyczne, na str. 5 — reportaże, powieści, na str. 6 — informacje lokalne i ogłoszenia, na str. 7 ukazywał się „Kurier Gospodarczy”, na str. 8 dominowała problematyka kulturalna i repertuary, na str. 9 — ogłoszenia i wiadomości sądowe, a na str. 10 — sport. Redaktorem naczelnym „Kuriera” był przed wojną Ryszard Piestrzyński, a dziennikarzem — znani i po wojnie ludzie pióra. Za dział polityki wewnętrznej odpowiadał red. Klaudjusz Hrabek, za dział polityki zagranicznej — red. Józef Białasiewicz, za dział prowincjonalny — red. Władysław Dunin-Wasowicz, za dział stołeczny — red. Zdzisław Sachnowski, za dział gospodarczy — red. Jerzy Wendel, za dział kulturalny — red. Jerzy Waldorff i za dział sportowy — red. Edmund Grzybowski (w latach pięćdziesiątych sekretarz redakcji „Sztandaru Ludu”). W „Kurierze Porannym” pisywał Boy-Zeleński, tu drukował swoje głośnie przedwojenne reportaże Melchior Wańkowicz.

Ten największy dziennik stolicy Polski miał ambicję docierać także do czytelników w całej Polsce, stąd mutacje terenowe gazety. Ukazywała się więc kilka razy w tygodniu mutacja „Kurier Poranny Lubelsko-Wołyński”. Oddział „Kuriera” mieścił się w Lublinie przy Krakowskim Przedmieściu 41, a jego przedstawicielstwa — w Chełmie (ul. Zacisze 2), w Łucku, Kowlu i Równem. Gazetę wydawała Stołeczna Spółka Wydawnicza. Redakcja i Drukarnia „Kuriera” mieściła się w stolicy przy ul. Marszałkowskiej 148. 25 września 1939 r. budynek redakcji spłonął po hitlerowskim bombardowaniu.

Tego samego dnia, kiedy „Kurier Poranny” już się nie ukazywał w stolicy, w Chełmie wydrukowano gazetę noszącą charakter wydania nadzwyczajnego. Była to zadrukowana jedna strona o formacie 31 na 31 cm. Winięta tej gazety czytelnicy mogą obejrzeć na zamieszczonej obok fotografii. Zajmijmy się teraz tekstami tam po-

mieszczonymi. Zwraca uwagę mała liczba artykułów o sytuacji kraju i mnogość tekstów dotyczących Francji, Anglii i Niemiec. Większość z nich ma charakter własnej obsługi informacyjnej. Wiadomości te pochodziły z nasłuchu zachodnioeuropejskiej radiostacji i komunikatów niemieckich. Natomiast wiadomości z kraju działająca w Chełmie nieliczna ekipa „Kuriera” nie mogła uzyskać. Bo i skąd? Wydzwięk wszystkich tekstów miał charakter optymistyczny. Cel wydania gazety był więc oczywisty: miała ona podnieść na duchu mieszkańców Chełma i przebywających w tym mieście uchodźców.

W dolnej części pierwszej strony, nie objętej zamieszczonym tu zdjęciem, znajdowały się jeszcze następujące informacje: „Artyleria francuska kruszy linie oporu niemieckiego”, „Szwajcaria, Belgia i Holandia w obronie swej neutralności”. Komunikat sztabowy wojsk francuskich podawał, że 24 września „liczne kontrataki niemieckie na wysunięte pozycje francuskie speliły na niczym. Trwa działalność zaczepna artylerii i lotnictwa francuskiego”.

Na drugiej stronie tej gazety znalazły się ulotki i wiadomości użytkowe z nasłuchu BBC, m.in. o tym, że już wkrótce Niemcom zabraknie benzyny wskutek blokady III Rzeszy przez armię zachodnie: „Jak wiadomo od dłuższego już czasu w Niemczech nie kursują prywatne samochody” — donosił „Kurier”. Pisano o mobilizacji przemysłu w Anglii. W krótkich informacjach donoszono o nocnych atakach wojsk niemieckich na Warszawę, odpartych na wszystkich liniach, o tym, że „Niemcy tracą rudę szwedzką” oraz że ambasador USA w Polsce, Biddle, został ostrzelany przez samoloty niemieckie. Cytowano, że ambasador Biddle w swoim raporcie dla rządu USA stwierdza, iż „w czasie swej drogi na wschód był kilkadziesiąt razy bombardowany i atakowany przez karabiny maszynowe z niemieckich samolotów. Dalej ambasador stwierdza, że nigdzie nie oszczędzono ludności cywilnej, kobiet i dzieci”.

Typowym przykładem tekstu mającego podnieść ludność na duchu był komentarz redakcyjny zamieszczony także na str. 2 pt. „Niemcy nie mają żadnych szans”. Dziennikarz „Kuriera Porannego” pisał: „Akcja wojsk niemieckich na froncie wschodnim daje jakoby pozory siły i potęgi, której trudno się oprzeć. Pozory mylą. Jest to jeszcze jeden z serii niemieckich bluffów do których przywykliśmy od dawna wszyscy...”. Niestety, nie był to



bluff, pozory nie myliły. Ale prasa do końca spełniała swą rolę pisząc:

„Toczące się na liniach obronnych niemieckich na Zachodzie walki są tylko przygrywką do wielkiej bitwy, która zadecyduje o wszystkim. Możemy być spokojni. Naszym polskim zadaniem jest trwać niezłomnie w oporze i zdawać sobie sprawę z tego, że losy wojny są zmienne, a czas, choćby jeszcze większy od nas ofiar wymagał, gra na korzyść naszą, nie na korzyść naszego przeciwnika, pomimo wszystkich pozornych sukcesów”.

W gazecie ukazał się też wiersz: „Na paskarzy”. Zacytujmy go: „To nie jest w porządku, panowie paskarze, zarabiać na nędzy i biedzie, kto w ogniu pożarów własną pieczęć smażą, ten gorzko się na niej zawiedzie. Za pasek i lichwę też będzie zaplata. Kto dzisiaj paskować zaczyna, dla tego w nagrodę kajdany i krata, i ciężki dla tego kryminal”.

Wiersz jest nieudolny, ale był potrzebny. Paskarze rzeczywiście robili kokosy na uchodźcach. Nie tylko w Chełmie zresztą.

Według informacji Kazimierza Andrzeja Jaworskiego to wydanie chełmskie „Kuriera Porannego” było dziełem Tadeusza Hollendra i Stefana Krukowskiego. Hollender nie należał do zespołu „Kuriera”. Ten, urodzony w 1910 r., poeta, satyryk i publicysta był współzałożycielem, a następnie redaktorem, miesięcznika kulturalno-społecznego „Sygnały”, ukazującego się od 1933 r. we Lwowie. Współpracował tak-

**Twierdza polska nad Bałtykiem**

Wieloletni dziennikarz „Kuriera”, Stefan Krukowski, w czasie okupacji hitlerowskiej, rozstrzelany przez żandarmów za to, że był Żydem. Na Powązkach ma swój symboliczny grób...

**Mobilizacja Polaków we Francji**

Stefan Krukowski, rodzony brat znanego satyryka Lopka, to długoletni dziennikarz „Kuriera”. Ale pisał niewiele, był redaktorem technicznym, układał koncepcję lamania poszczególnych stron gazety, dobierał zdjęcia. Zginął w czasie okupacji hitlerowskiej, rozstrzelany przez żandarmów za to, że był Żydem. Na Powązkach ma swój symboliczny grób...

W stopce redakcyjnej wydania chełmskiego „Kuriera” umieszczono nazwisko redaktora naczelnego gazety: Ryszarda Piestrzyńskiego i nazwę wydawcy: „Stołeczna Spółka Wydawnicza”. Czytelników informowano, że gazetę „tłoczono w Drukarni „Zwierzciadło”, Chełm, ul. Lubelska 56, tel. 33”. I to wszystko, co wiemy dziś o nadzwyczajnym wydaniu chełmskim „Kuriera Porannego”.

Może ktoś z czytelników dysponuje informacjami, które wzbogaciłyby naszą wiedzę o tej nieznaną kartę w historii prasy polskiej, jaką było wydanie w Chełmie, w poniedziałek 25 września 1939 r., ostatniej (poza Warszawą) gazety polskiej w II Rzeczypospolitej?

## Krzyżówka nr 21 z szyfrem

**P o z i o m o:** A. morski rozbójnik • pierwszy w kalendarzu • eskorta, C. ważniejszy dowód osobisty • wystawiany przedmiot, D. zbocze góry • pieniądze uzyskane za sprzedane towary • pora roku, E. latriona separatake • państwo śródziemnomorskie, F. tenisowe boisko • jałowity wąż • owoce południowe lub majtki, G. omyłka • ciało niebieskie należące do układu planetarnego, H. pole, Ian • wywołuje strach • zbiór pytań, forma egzaminu, I. człowiek wielu wyrzeczeń • fabrycznie narzywa się zwis męski, J. od niego zaczyna taniec • największa republika w ZSRR • w dal, wzywał lub a tyrcce, K. zaczyna lato • myśliwska sfora, M. swoboda • góry w Europie • kawałek granatu.

**P i o n o w o:** 1. współtwórca „Panoramy Baławickiej” • gromadnie przybycie, 2. futerał, 4. jeden ze zmysłów • praca, 6. uderzenie • miękka tkanina • koci drapieżnik, 8. narada, zebranie, 10. rysunek na żywym cieple • Lorca lub Calderon, 12. więziennym pomieszczenie • język pochodny od esperanta • może być zboża, żywe, ruina leśnego lub surowców wtórnych, 14. poważny wietrzy lub utwór muzyczny • zaczyna się od nowego wiersza, 16. szybko odbijanie dokumentów, 18. opłata za przewóz towarów przez granicę • okres w historii • pierwiastek promieniotwórczy, 20. mądrycki klub sportowy • moc, 21. oblicze samochodu, 22. imię męskie • strateg w mniejszym zakresie.

**S Z Y F R**  
A12. H13. B18. D23. M1. L14. J3. I14. / F16 / H3.  
K16. K9. D20. A1. F12. M21. / A4. C14. K6. J4.  
L12 / A22. F23. H21. / H11. C18. G19. E8. / C8. E7.  
M3. K20. I7. A13. E18. A15. / F22. M18. L23 / C21.  
I15. A7. F8. G5. F14 / J12. C3. F21. M22. K15. C6.  
M15. M7 / E15 / M12. J11. F11. A21. K10. G7 //

Rozwiązania wyrazów pomocniczych i szyfru należy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 331, 99-999 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy boni książkowy wartości 1000 zł.

**Rozwiązanie krzyżówki nr 19 z szyfrem**  
**P o z i o m o:** dendrologia, odpowiednik, Oslo, przepowie. dnia, złom, sztafet, strażak, starter, dostatek, cieżki, symetria, Hrabina, Trudent, starość, twór, australoptyk. Ball, lublinianka, odzieżarnik.

**P i o n o w o:** drogi, hotel, tuzes, droga, beryl, plantunka, Olza, Oks, usto, Impet, Ruryk, ruiny, owca, dola, Zagle, diata, naped, okno, oss, Alot, automatyk, dorór, rober, tarlo, komar, ćwiek.

**S z y f r**  
Do czynu Polak dorasta w piętnastym roku życia. Do myśli za to na ogół nigdy nie dorasta.

**Wiemna Wratny — Upadek „Ludowej”**  
Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 19 nagrodę wylosował Paweł Mazerant, ul. Sławińskiego 14 m. 8, 21-400 Świdnik.

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
A																							
B																							
C																							
D																							
E																							
F																							
G																							
H																							
I																							
J																							
K																							
L																							
M																							

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Ireneusz J. Kamiński, Andrzej W. Pawluczuk (sprawy literackie; interesantów przyjmuje we wtorki w godz. 13-14). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skróćów.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne s.n. PKWN w Lublinie ul. Unicka 6.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Janna 6, tel. 284-29.

Adres redakcji: 20-039 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 288-93, sekretarz redakcji 318-93, dział publicystyki i literacki 378-39. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-399 Lublin, skrytka pocztowa 331; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji. Zam. 1533, 29.09.83 A-3



Jan Andrzej Morsztyn (17/3)



Nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej w Rzeszowie ukazały się „Cuda miłości”, czyli fraszki, erotyki, wiersze różne Jana Andrzeja Morsztyna (1621—1683), mistrza poetyckiego słowa baroku. Na półkach księgarskich długo ta pozycja nie poleży...

Jan Andrzej Morsztyn

## Do jednej

Chcesz iść za bogatego? Mądraś! Lecz nie głupi  
I bogaty, bo cię on nie pojmie, a kupi.

## Księżym synom

Gdy się za księdzem w kościele modlicie,  
Wy sami szczerze „Ojcze nasz” mówicie.

## Starej

Przestrzegałem cię, Zosiu, że nieguśne stopy  
Starość pomyka w świeże za młodością tropy;  
Mówiłem: teraz zażyj, teraz, dziewczko, świata,  
Babą być i prawicy, gdy jej dojmą lata.  
Nie dbałaś — a toż starość przytężyła nieznacznie:  
Trudno zgubne dni cofnąć, choć ich wspomnieć  
smacznie!

Rada był taki rozum woneczas była miała  
Jak teraz — alba teraz przeszła gładkość ciała.  
Pozwól jednak, że i to uoblapiam ciało,  
Co się już nie podoba, ale podobalo.

## Omyłka

Zgubił gazies matkę Kupido zblakany,  
Wtem zoczył Kasie i rzekł oszukany:  
„Matko, o matko!” — lecz harda dziewczyna,  
Nie chcąc ni gościa takiego, ni syna,  
Rzekła: „Pewnie mi na łonie nie siedzisz,  
Nie jestem matka”. On rzekł: „Ale będziesz”.

## O Walku

Doktor nie ńierze lekarstw ani prawa  
Zażywa praktykę, sukiennik z postawa  
Nie kraje sobie, balwierz się nie goli;  
Każdy bardziej zysk niżli swój wczas woli.  
Tak też i Walko z żoną postępuje:  
Sam jej nie tyka, a ludziom najmuje.

## Gwoździak

Panny w gwoździaku, widzę, się kochacie;  
Ja-ć ziela nie mam, jednak jeśli macie  
Rozum, radzę uam, byście za ten mały  
Gwoździć, gwoździć cały ode mnie wziąć chciały.

## Stanza do Zosie

Bodaj ten zginął, moja Zosiu droga,  
Kto z tobą żyje w jakiej nieszczerości;  
Bodaj go szabla nie minęła sroga,  
Kto znając ciebie, nie gore w miłości.  
Przyznam się, że już ma dusza uboga  
Wysmakzyła się aż do samych kości:  
Miejże dość na tym, albo jeśli w grobie  
Chcesz mię mieć, niechże wprzód będe na tobie.

## Na smętą

Smiejesz się, gdy cię heblują na ławie,  
A potem płaczesz, kiedy już po sprawie,  
Skądże-ć to? Czy-ć żal, że cię oblapiano?  
Czy że tylko raz i że poprzestano?

## Oczy i piersi

Patrząc na oczy, moja Jago, śliczne  
I na twoe piersi plcią i farbą mleczne,  
Te z śniegu, tamte złożone z płomienia,  
Na te wypadam słowa z zachwycenia:  
Ślusznie on wieczny natury obrońca  
Do tych dwóch światów takie dał dwie stońca.

## Do starego

Ilkroć w ręku twych tę panią widzę,  
Ze ją całujesz, starcze obrzydliwy,  
Tylekroć z ciebie jak na urząd szydze,  
Ześ stary jak kruk, a jak wróbel furliwy.

Z tak śliczną twarzą ten twój nos sędziwy  
Nie zgadzają się; ja się tobą brzydze  
I będę z twego szczęścia żałośliwy,  
Aż się jej udam, a ciebie ohydze.

Atoli-ć szczerą pomogę przestroga:  
Rudzę-ć ostrożniej poczynaj więc sobie,  
Bo ta pani — śmierć nosi w oczach sroga

I ma źrenice jadowite obie;  
A ty, któryś już w trumnie jedną nogą,  
Jak z bliska natrzesz, będziesz drugą w grobie.

Piórkem Andrzeja Bronikowskiego

